№ 47. Warszawa, dnia 9 (21) Listopada 1874 roku.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

Prenumerata wynosi: w WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop. 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 k. 50. Numer pojedynczy k. 15.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni Leitgebera;—w KRAKOWIE przesyłając należytość do A. Nowoleckiego w wydawnictwie Czytelni ludowéj lub wprost do Redakcyi w Warszawie. Przedpłata dla GALICYI z przesyłką pocztową kwartalnie zlr. 4. W KRAKOWIE zlr. 3. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie Ulica Żabia Nr 956 (nowy 6) dom narożny przy targu.

POCZĄTEK SŁOWIAŃSZCZYZNY

według dokumentów zebranych i ułożonych

PRZEZ

W. A. Maciejowskiego.

(Dokończenie).

Pierwszą też wzmiankę o nich historyczną robi Cezar w pierwszej połowie wieku przed Chrystusem, o rzeszy zaś Swewskiej dla tego wspomina, że przepędziwszy Jarowida, za Ren i dowiedziawszy się, że ten należy do silnej społeczności mogącej mu stawić dzielny opór w miejscowości dzikiej, a zupełnie mu nieznanej, wstrzymał swój pochód zwycięzki nie chcąc narażać się na wątpliwy los wojny. Była to przezorność godna tego znakomitego męża, którą później nie rządząc się Warrus, zginął wraz z całym zastępem zbrojnych.

Co za jedni jednak byli owi Swewowie, dla czego w ogólnej nazwie Germanów, błąkały się nazwy Germanów Swewów i nie Swewów, to trzeba było wydobywać ze starych praw germańskich, ze wzmianek pisarzy greckich i rzymskich z różnych akt, dokumentów i zapisów klasztornych, z różnorodnych kronik nieraz dorywczo spisywanych, z ducha języków łacińskiego, greckiego, trackiego, dackiego, geckiego, z różnych narzeczy słowiańskich, łączyć je, porównywać, prostować błędy w przepisywaniu popełnione, domyślać się znaczenia przeróbek porobionych i z tego dopiero wszystkiego utworzyć jedną całość, czyli wydobyć prawdę gruzami wieków zaciemnioną.

Uczony nasz historyk zwycięzko wyszedł z tego zadania a miał trudności niemałe zwłaszcza, że Lelewel biorąc żywy udział w każdym sporze podstawy tych dziejów dotyczącym, pilnie nad tem czuwał, aby dopóki się nowa a mocna przycieś pod gmach stawiany nie położy, nie tykać dawnej, inaczej bowiem psując ją a na jej miejsce kładąc wątłą, runie budynek na słabej wzniesiony podstawie. Tym sposobem trociłoby się wszystko a nic nie zyskało.

Z tego też powodu p. W. A. Maciejowski liczne z Lelewelem przeprowadzał korespondencye, a gdy wystąpił Szajnocha z lechickim polski początkiem, w którym Lachów przerobionych później w nazwie swej na szlachtę, wywiódł od Normanów, co uczony nasz badacz zbił najzupełniej, Lelewel napisał do p. W. A. Maciejowskiego list w którym wyraził się pomiędzy innemi: „W swoim czasie z Eichorna i dawniejszych z Sawiniego (Savigny) uczyłem się teutońskich instytucyi: a z tem nie miałem pola popisywać się, chyba w ustnym uniwersyteckim kursu wykładzie, bom zamyślił naprzód jedynie w swojem się rozgościć. Później, w latach długich i następnych do dziś, dzieła owe znikły mi z oczu, i rzecz cała uszła z pamięci. Dziś Wasze dzieło (Narody na ziemiach Słowiańskich) uczy mię i wysoce zajmuje odróżnianie słowiańskiego od teutońskiego żywiołu. Z Waszego stykania analogji, podobieństw, sprzeczności, w czem żwawo pędzicie, zda mi się widzieć plemię Teutonami w swym rozwoju i rozboju niejednostajnie urządzone, z niejednostajnych stanowisk swe urządzenia przeobrażające."

Słowa te, powiada p. W. A. Maciejowski, wyrzeczone przez męża, który dotąd słyszeć nie chciał o Swewach, żadnej styczności między Teutonami a Słowianami co do wewnętrznych stosunków nie przyznawał, i pobyt Słowian za Łabą bardzo późny bo dopiero w ósmym wieku naznaczał, spór poprzedni z Lelewelem załatwiły i przymówkę cierpką dana o szwabstwo złagodziły. Powstała ona z następującego powodu. Kiedy pod pozorem szerzenia cywilizacyi w krajach z Germaniją sąsiadujących, cesarstwo niemieckie groziło Bolesławowi Krzywoustemu zabraniem Pomorza, gdyby pogaństwo w całej pełni życia miało się tam dłużej utrzymywać, wówczas Bolesław krzątając się około wynalezienia odpowiedniego apostoła wysłał Ottona biskupa w mieście zwanem Babią górą (Babenberg, Bamberg) leżącem w dawnej Swewji wówczas jeszcze nie zniemczałem. Po dwukrotnej wyprawie do Pomorzan w roku 1124 i 1127 dokonanej, zacny mąż spełnił swoje posłannictwo, a uczeń jego Ebbo opisując życie apostoła powiedział, że w mieście Julinie wystawionem przez Juliusza Cezara, stał słup wysoki z przymocowaną włócznią na jego pamiątkę. Miasto to rzeczywiście znajduje się dotąd i nazywa się Wolinem, nie wiadomo tylko, czy Julin z Wolina czy przeciwnie Wolin z Julina powstał.

Włócznia ta, według drugiego opisu bezimiennego pisarza, była od rdzy zupełnie zniszczoną i do żadnego już użytku nie przydatną, mimo tego poganie utrzymywali, że we włóczni tej jest coś Boskiego, że ją uważają za swoją i ojczyzny tarczę i że wiedzą iż jest znakomitą pamiątką odniesionego zwycięztwa. Kiedy więc Pomorzanie chrześcijaństwo przyjęli, z dość wielką łatwością, gdyż zyskiwali opiekę potężnego króla panującego nad bratnim im ludem, a w zamian za nią mieli tylko wnosić corocznie do skarbu trzysta grzywien, i w czasie wojny z dziesięciu gospodarzy jednego dobrze uzbrojonego wysyłać do boju, z obowiązkiem opatrywania potrzeb pozostałej rodziny przez cały czas trwania walki; otóż kiedy Pomorzanie zostali ochrzczeni, wówczas Ś-ty Otto kanonizowany w r. 1189, umiejąc po polsku mogący zatem porozumieć się z Pomorzanami w ich języku ojczystym, chciał tę włócznie koniecznie kupić i dawał za nią pięćdziesiąt grzywien, aby przez jej nabycie zatracić do reszty pamiątkę zabobonów pogańskich. Pomorzanie pojmując, że świątynia bogu wojny Jarowidowi poświęcona wkrótce zburzoną zostanie, że tym sposobem wyzują się z ostatniej pamiątki po ukochanym przez nich wodzu Jarowidzie, na którego cześć być może, że nawet została wzniesioną, nie chcieli się przynajmniej z włócznią rozstać jako przypominającą im jakieś wielkie zwycięztwo, lubo sami nie wiedzieli kto je odniósł i na kim.

Przy tych targach o kupno włóczni, Ś-ty Otto musiał naturalnie przesadzone wieści o świętości jej zbijać, i wszelkie podania przywiązane do niej jako pamiątki zwycięztwa rozumowaniem odpowiedniem osłabiać. Drugi nasz kronikarz Mateusz nie mogąc znieść, aby dawne podania sławę narodowi przynoszące mogły być tak lekceważone, a nie umiejąc ich wytłomaczyć za pomocą rolniczych Polan, przyczepił je do wojowniczych Lachów, niegdyś jak wiemy przed Piastów rodziną pod imieniem Leszków przewodniczących narodowi, i w kronice swej powiedział, że Leszek III, miał stosunki z Juliuszem Cezarem, że ożenił się z jego siostrą i że dostał w posagu za nią Bawaryą, którą jako podbitą przez wodza rzymskiego przez niego również mogła być darowaną. Mimo tego choć Cezar wojował w Gallji w ostatnim wieku przed Chrystusem, nasz Mateusz panowanie owego Leszka z Cezarem kumającego się, naznaczył na wiek IX.

Boguchwała wtrąciwszy to opowiadanie Mateusza do swej kroniki, a lepiej widać znający historyą, fakt sam przyjął za prawdziwy, tylko poprawił w dacie oświadczając, że się stał w ostatnim wieku przed Chrystusem a więc w czasie kiedy żył Cezar, że Leszek ów trzeci wojując i pokrewniając się z Cezarem, miał chodzić po świecie za czasu narodzenia się Chrystusa, umrzeć za panowania w Rzymie Nerona cesarza, i miał aż dwudziestu synów których poobdzielał nawet działami dość obszernemi.

Ta poprawka Boguchwała, jak powiada pan W. A. Maciejowski, Lelewela wprawiła w rozpacz, bo już tu nie tyle szło o same stosunki Cezara z naszym Leszkiem, jak raczej zkąd kronikarz powziął wiadomość, że te miały miejsce w czasie tak zgodnie ze zjawieniem się Cezara oznaczonym i że Leszek ów miał aż dwudziestu synów? Rzucono się więc do badania: ksiądz Maciej Maliszewski zapisał cztery grube foliały o początku Słowiańszczyzny, Bielowski przedstawił swoje domysły, ale oba ci uczeni nie zadowolnili Lelewela, gdyż Leszek III, żadnym sposobem nie mógł być odszukanym w dziejach, a pogadanka o nim opisywała zdarzenie dziejowe tego rodzaju, że ją odrzucić jako bajkę było niepodobnem, a przyjąć za prawdę broniła niedostateczność dowodów. Lelewel też nie przyjmując wywodów tych, przypuścił, że wieści Mateusza o szwagrostwie Cezara z Leszkiem, mogły powstać z czasów panowania Gotów nad krajami później Polskę już chrześcijańską tworzącemi: że być może iż jeden z ich władzców Ermanaryk mógł w opowiadaniach ludu zaszczepić wspomnienia, których tak niebacznym tłomaczem stał się Mateusz. Ten domysł nie poparty zresztą żadnym dowodem historycznym, naprowadził p. W. A. Maciejowskiego na domysł, czy czasem Jarowida Pomorczyka który rzeczywiście wojował z Cezarem, nie wzięto tu za Leszka. W miejsce więc Gota podstawił Swewa Jarowida, którego Lelewel wziąwszy za Szwaba obruszył się niewymownie, że badacz nasz Polan i Lachów zbliża z narodem pochodzenia teutońskiego. Zapewniony jednak że Swewów zupełnie wyróżnia od Szwabów, udobruchał się i zmienił zdanie, ale o istocie rzeczy nie został jeszcze przekonany. Ten właśnie zarzut Lelewela p. Maciejowski nazwał cierpką przymówką, a historya wyjaśniła dopiero dokładnie, że domysł co do Jarowida był prawdziwy.

Cezar bowiem sam powiada, że Jarowid ożenił się po raz drugi z kobietą przysłaną mu przez brata do Gallii z dawnego Noryku a dzisiejszego Tyrolu od czasów Pawła Dyakona Bawaryą nazywanego. Brata więc tego, nasz Mateusz wystrychnął na Juliusza Cezara, siostrę jego na siostrę Cezarową a Noryk po dawnemu Bawaryą mianował. Co do owych synów dwudziestu, kronikarz nasz uwiódł się złem rozumieniem łaciny. Przy schyłku Rzymian państwa plątający się coraz więcej łaciński język używał wyrazu *puer* na oznaczenie tak syna jak córki, Mateusz nie wiedział widocznie o tym obyczaju i biorąc *puer* w dosłownem znaczeniu, znaczącem chłopiec, wszystkie dzieci Leszka na chłopców wyforytował a że w owym czasie ziemi swewskiej czyli słowiańskiej jeszcze nie zniemczonej było dosyć, nie żałował więc jej na uposażenie tychże dzieci, zwłaszcza że daleko większą liczbę książąt można nią było obdzielić bezpiecznie. Że zaś czyn z czasów przed Chrystusa przeniósł w dziewiąty wiek po Chrystusie, to łatwo wytłomaczyć dumą narodową zawsze nie małego znaczenia, tymbardziej w pisarzu i do tego historyku przyzwyczajonym boje i wygrane bitwy, brać za sławę narodu a głównych w nich przewodzców za bohaterów.

Przeszłość cała Swewów jako rolników płynęła bez żadnych rozgłosów wojennych, gdy więc zjawił się w niej taki Jarowid, co ze stu tysiącami wojowników poszedł do Gallii, zaprowadził porządek między pokwaśnionemi ludami i choć pobity przez Cezara tak mu się jednak okazał groźnym, że ten nie śmiał go dalej po za Ren ścigać, to nic dziwnego że rodacy jego Pomorzanie uznali go niemal za boga, a Mateusz za wojownika godnego chluby. Że zaś Leszkowie znani ze złych rządów i ucisku nie byli przez naród lubieni, że nie zalecali się żadnemi rozgłośnemi wojennemi czynami, czyli że cała przeszłość narodu pozbawioną była blasku sławy z wojactwa idącej, która jak dawniej tak i wówczas szczególniej była nęcącą, kronikarz więc nasz pragnąc ją podnieść a nie uważając tego za grzech zbyt wielki, że jednego na księcia słowiańskiego kosztem drugiego uposaży, Jarowida zmienił w Leszka.

Wreszcie pamięć o tym wojaku Słowianinie jako poganinie, mało wówczas była upowszechnioną: Niemcy jak zwykle lekceważyli go, a jednak na ratunek uciemiężonych Sekwanów nikt nie pospieszył tylko Słowianie, uciemiężeni zaś do żadnego innego nie udali się ludu o pomoc tylko do Słowian.

Pierwsze to historyczne wystąpienie w wojnie Słowianina Jarowida ze swoim ludem, w obcej zupełnie dla siebie sprawie, było jakby zapowiedzią przyszłych losów Słowiańszczyzny odpierających z jednej strony napady Tatarów i Turków, z drugiej teutońskiego zakonu Krzyżaków i Niemców wdzierających się w ich posiadłości, i obrony Wiednia tak sławnej a tak mało korzystnej pod względem politycznym.

Kończąc ten wywód powstania Słowiańszczyzny według źródeł wydobytych z takim mozołem przez p. W. A. Maciejowskiego, czujemy się jeszcze zwrócić uwagę, że z powstaniem rodziny Piastów żywioł Słowiański tak się stanowczo zaczął utrwalać, tak wyraźnie nosił cechy jedności swego pochodzenia, że dzieje pierwotne Czechów, Morawianów, Słowaków, i w ogóle wszystkich Słowian pod panowaniem Władysława Jagiellończyka w XV i w XVI wieku zjednoczonych, w coraz ściślejszym związku występują z dziejami Polski i Rusi. Osobliwie wewnętrzne rzeczonych ludów dzieje stykają się z sobą blisko, roztaczając koło na całą ówczesną Słowiańszczyznę, która się od jeziora Konstancyjskiego w Szwajcaryi poczynając, szła na wschód do Bawaryi a na północ do Nordalbingji dzisiejszego Szlezwigu, kończąc się na wyspach Duńskich, gdyż tam ostatnie osady Słowian upatrywano. Dotąd też po tysiącach lat utrzymała się Słowiańskość na Łużycach, i według wszelkiego do prawdy podobieństwa, utrzyma i nadal, gdyż tameczny Słowianin ma taki sam charakter dotąd jaki posiada cała ludność Słowiańska, o czem p. W. A. Maciejowski w innem swem dziele obszernie opowiedział.

Że zaś rozsypana tak Słowiańszczyzna na północy, zachodzie i południu Europy, mówi różnemi narzeczami mniej lub więcej zbliżonemi do siebie, a nawet jak w Szwajcaryi zupełnie odmiennemi, stało się to z powodów łączenia się z niemi różnych ludów, które stosownie do swej liczby i przewagi, oddziaływały na ich mowę i odpowiednio ją wyrabiały.

Gdzie więc Słowianizm był silniejszy, tam i mowa utrzymała swój początkowy pierwiastek, gdzie słabszy tam się zmieniła do niepoznania nie stając się jednak niemiecką i dla tego plattdeutsch nazwaną została.

Jeżeli ta pierwsza praca na wywodach tak gruntownych oparta, tak stanowczo wyświecająca zamarłą przeszłość godną tak wielkiej rzeszy jaką jest Słowiańszczyzna, a jasno jej przyszłość nakreślająca chętnie przez zamiłowanych w rzeczach ojczystych przyjętą zostanie, nie omieszkamy i inne prace p. W. A. Maciejowskiego podobnie streścić jako równie ważne i niemniej ciekawe. Dopełniliśmy jej, wyznać szczerze należy, z największą przyjemnością, nie wątpimy więc że równie przez czytelników przyjętą zostanie. Jeżeli bowiem ciekawi jesteśmy rodowodów własnej rodziny i pielęgnujemy starannie wszystkie szczegóły ich dotyczące, o ileż ciekawość ta powinna być większą gdzie idzie o zbadanie przeszłości całej społeczności do której należymy, jej początku, rozwoju i stanowiska jakie w rzędzie ludów Europejskich zajmuje.

Uczeni niemieccy zasłaniając ją rozmyślnie, starając się swemu żywiołowi jako jedynie i od wieków cywilizacyjnemu, nadać pierwszeństwo, wystawiają Słowian jak hordy barbarzyńskie a napady na nich jako konieczność pochodem postępu wywołane: pan W. A. Maciejowski przekonał ich, że było przeciwnie, że hordami barbarzyńskiemi byli właśnie Teutonowie ich protoplaści ze Skandynawji przybyli, i że co w ich urządzeniach znalazło się dobrego to wszystko wzięli od Słowian. Niemieccy uczeni chcieli przodków swoich zrobić tubylcami od wieków zagnieżdżonemi, a rozsypanemi nawet pod Dniepr i dla tego wywodowi Szajnochy, że szlachta polska skandynawskiego a więc teutońskiego czyli niemieckiego była pochodzenia, z zapałem przyklasnęli, uczony nasz badacz dowiódł że się mylą, że Szajnocha był w błędzie, i że Słowianizm już w drugim wieku po Chrystusie napływem ludności Geto-Dackiej był silnie upowszechniony, poprzedzając na wiele lat napad ludów od morza Kaspijskiego przybyłych.

Wszystko to niezmiernie ważne dla historyi jako mistrzyni przyszłości: każda prawda to nowy przyczynek do skarbnicy pomyślności nie tylko pojedynczych narodów ale i całej ludzkości. Ten przyczynek dał nam uczony badacz, bo wykazał niebezpieczeństwo dla słowiańskiego żywiołu, przez ciąg długich wieków ciągle mu szkodę przynoszące, i jedynie tylko przez skupienie Słowian, mogące stanowczo być usunięte. Że to nastąpi, nawet na chwilę powątpiewać nie można.

J. K. Gregorowicz.

ORZEŁ I GOŁĄBKA

POWIEŚĆ

PRZEZ

Panią Zeneidę Fleuriot.

DZIEŁO UWIEŃCZONE PRZEZ AKADEMIĘ FRANCUZKĄ

przekład **H. K.**

(Dalszy ciąg).

XXX.

Niespokojności w Paryżu trwały już od dwóch miesięcy i dni czterech a od pięćdziesięciu trzech dni armija francuzka oblegała Paryż. Od kilku tygodni wypadki szybko po sobie postępowały: co dzień żoł-

nierze francuzcy czynili krok naprzód, a federaliści o krok się cofali. Nieznacznie skupiali się ku środkowi miasta, lecz żaden stanowczy wypadek nie przychodził położyć końca temu strasznemu stanowi rzeczy, gdy 21 maja Ducatel podsunąwszy się ku zniszczonej bramie Saint-Cloud, zdołał pod gradem pocisków, oznajmić komendantowi Tréres, że wejście do Paryża było możebnem. Poszli za jego wskazówkami i armija oszukując szczęśliwie wszelkie przewidywania zbuntowanych, tego dnia jeszcze weszła do miasta.

Z Ratusza, gdzie zasiadali przewódzcy powstania, sypnęły się proklamacye wzywające wszystkich bez wyjątku do rozpaczliwego działania.

Armija atakująca, zwolna lecz z pewnością prowadziła działania swoje, i 23 maja było już w Paryżu dziewięćdziesiąt tysięcy ludzi. Generał Cissey utrzymywał lewy brzeg Sekwany; generałowie Donai i Vinoy otaczali Tuilleries, Louvre i plac Vendome, inni generałowie wykonywali ruch okrążający, który tak szczęśliwie oszukał strategiczne wyrachowania federalistów. Armija francuzka przychodząca z prawego brzegu, widziała jeszcze wznoszące się między nią a Ratuszem, potężne oszańcowania, i uzbrojenia, w których dzielnie się trzymano, uczyniła jednakże już krok stanowczy, i gdy federaliści zmieniając kierunek dział, zasypywali pociskami część miasta im odebraną, armija postępowała ciągle, i w tej części miasta o której mówimy, usiłowała wziąść szturmem barykadę Saint Florentin, umieszczono między murem pałacu Tuilleries a narożnikiem ulicy Saint Florentin. Ta potężna zapora osłaniała dość liczny oddział szaleńców, a pociski jej dział wraz z pociskami sąsiedniej bateryi, wstrzymywały z tej strony wysiłki Wersalczyków, którzy ukryci za Pałacem Przemysłu i domami ulicy Montaigne, leżąc w krzakach i trawnikach na Champs-Elysée, starali się wystrzelać artylerzystów Komuny. W czasie tego, armaty umieszczone na Bramie Tryumfalnej i na tarasie Gmachu Ciała Prawodawczego, bateryе ich rozbijały.

Gwałtowność ataku jak tu tak i wszędzie, utrudniała obronę, i podczas gdy federaliści skupieni przy barykadzie morderczą kanonadą bronili dostępu od strony placu de la Concorde, kilka oddziałów, między któremi znajdował się oddział Henryka, rzuciło się przez przedmieście Saint Honoré. Krwawa walka rozpoczęła się najprzód w ulicach przyległych barykadzie, potem pod samą barykadą, którą kartaczownice w sztuki szarpały.

Kilkudziesięciu zapaleńców trzymało się jeszcze, gdy Henryk walczący na ulicy, nadbiegł na czele swych żołnierzy z zamiarem ukończenia boju stanowczym szturmem. Zatrzymał się o kilka kroków od barykady, okiem zmierzył trudności ostatniego ataku, a zwracając ku swym żołnierzom twarz poczerniałą od dymu z prochu; w kilku słowach objaśnił jak mają wdzierać się potem wznosząc pałasz rzucił się naprzód, i nagle zatrzymał się osłupiały.

Na samym szczycie barykady przy zdemontowanej armacie, kobieta z oczyma rozognionemi, z włosami rozrzuconemi w nieładzie, i z rewolwerem w ręku, nagle się ukazała, i Henryk poznał Noémi Drassart.

— To tylko garstka! zawołała głosem donośnym w pół się zwracając ku swoim; — tylko kilkunastu ludzi. Jeden wystrzał armatni a zmiecie ich bez śladu! Artylerzyści, do dział!.

— Naprzód — krzyknął Henryk bojąc się aby te słowa nie wstrzymały uciekających federalistów.

Noémi wyrwała lont z rąk jakiegoś przestraszonego komunisty stojącego przy niej, i sama rzuciła się do armaty.

Wystrzał się rozległ, i w tejże chwili odpowiedział nań morderczy ogień szaspotów zanim Henryk miał czas go zatrzymać.

Noémi przyklękła i stoczyła się z barykady.

— Naprzód! — powtórzył Henryk. Żołnierze rzucili się za jego przykładem i gonili czas jakiś za federalistami którzy uciekali w różne strony.

Straszna barykada Saint Florentin ostatecznie wziętą została, a było już około siódmej wieczorem.

Henryk wysłał sztafetę z doniesieniem generałowi o otrzymanych korzyściach, a wstrzymując zapał swych dzielnych żołnierzy, dał im chwilę spoczynku pozwalając się ochłodzić i posilić jedzeniem, które ludność chętnie znosiła dla swych obrońców. Wydawszy rozkazy skorzystał z chwili wolnej aby powrócić do barykady na w pół rozwalonej, obszedł ją zwolna w około i z łatwością odszukał Noémi leżącą bez życia, z twarzą zsiniałą i ustami zakrwawionemi. Po cieple twarzy i rąk poznał że żyje jeszcze, chciał już ją podnieść z ziemi, gdy spostrzegł kilku pomocników ambulansowych, owych świętych braciszków Nauki Chrystusowej, którzy z noszami szybko przechodzili plac de la Concorde. Na ich czele szedł starszy braciszek w towarzystwie P. Karola Bihannic. Henryk zawołał o pomoc, i na dźwięk tego dobrze znanego głosu, brat Karol podniósł głowę i na wszystkie strony się oglądał.

Henryk stojąc na zburzonej i pustej barykadzie pałaszem dawał znaki aby się do niego zbliżono: zacny człowiek uskutecznił to natychmiast.

W kilku słowach opowiedział mu Henryk rzecz całą.

— Czy chcesz abym naszych pomocników zawołał? — zapytał poczciwy starzec są oni bardzo potrzebni w stronie mostu des-Peres gdzie walka była gorąca.

— Wuj mi jeden wystarczy — powiedział Henryk — czy możesz mi pomódz? Chętniebym ją sam wziął na ręce, lecz z tym ciężarem będę bezbronny i na łasce pierwszego lepszego federalisty spotkanego na drodze.

— A więc zostaję — odpowiedział brat Karol.

I zwracając się do braciszków dał im znak aby szli dalej. Potem zapytał Henryka:

— Gdzież ją zaniesiemy!

— Czy nie moglibyśmy jej zanieść aż pod Nr. 152 przy ulicy Rivoli?

— Niepodobna, byłoby to niepotrzebne narażenie życia; lepiej zanieśmy ją tu bliżej. Domy ulicy Saint Florintin są nietknięte a teraz gdy barykada wzięta, ta część miasta do nas należy.

— Masz słuszność wuju — rzekł Henryk — Najważniejszą rzeczą znaleść dla niej schronienia i felczera,

Wziął na ręce bezwładne ciało nieszczęśliwej Noémi i zeszedł na ulicę Saint-Florentin, poprzedzony przez brata Karola, który niespokojnie po wszystkich oknach rozpatrywał.

Gmach Ministerstwa Marynarki i wielki pałac Rotszyldów, miały swe ciężkie bramy szczelnie zamknięte, lecz trochę dalej znaleźli jedne na oścież otwartą i weszli do obszernego salonu już na tymczasowy ambulans zamienionego.

Kobieta poważnej powierzchowności czynnie zajętą była kilku rannymi, których przyniesiono. Przyjęła ich chętnie i natychmiast oddała do ich rozporządzenia wielką kanapę pokrytą morderowym aksamitem o złotych prążkach, na którym Henryk złożył omdlałą Noémi.

Dwie świece umieszczone w kryształowym kandelabrze, oświetlały niewyraźnie tem słabiej jeszcze cały apartament, że osoby pielęgnujące rannych, co chwila wyrywały je sobie dla rozpoznania ran lub ich opatrzenia. Wreszcie udało się Henrykowi dostać światło, i brat Karol wszedł w uroczystą swą rolę lekarza.

Odkrył wkrótce że kula musiała wpaść w ramię młodej dziewczyny. Rozdzierając delikatnie jej suknią mógł się ranie dokładnie przypatrzeć. Przedstawiała wązki cylindryczny otwór na zewnętrznem spojeniu prawego ramienia.

— To nic nie jest — odezwał się Henryk podtrzymujący Noémi podczas tego badania — wrażenie tylko musiało spowodować tak głębokie omdlenie.

Doktór potrząsnął głową i pochylił się aby przysłuchać się słabemu oddechowi Noémi, a Henryk patrząc na ranę ciągle powtarzał:

— To nic, to nic, cięższe postrzały widziałem a ranni jednak przychodzili do siebie.

Brat Karol złożył młodą dziewczynę na poduszkach i rzekł.

— Ta rana jednak nieuleczona... bo śmiertelna.

— Ach! wuju zawołał Henryk.

— Tak, śmiertelna — powtórzył brat Karol — kula przeszyła piersi, i płuca nadwyrężone.

— A więc pozwól mi się na wszystko narazić aby ją przenieść na ulicę Rivoli, niech przynajmniej u siebie umiera.

— Niepodobieństwo, każde wysilenie spowoduje śmierć natychmiastową.

— A więc z pewnością umrze mój wuju? — zapytał Henryk z powątpiewaniem.

— Jutro najpóźniej, może jeszcze tej nocy, a natychmiast jeżeli dozna jakiego gwałtownego wstrząśnienia.

W tej chwili kilku żołnierzy zagrzanych walką, wbiegło do salonu i stając przed Henrykiem rzekł jeden.

— Pułkowniku, jesteśmy przeznaczeni do zburzenia barykady ulicy Castiglione.

Henryk dobył pałasz, a potem wzrok swój na Noémi zatrzymując, rzekł ze smutkiem:

— Co się z nią biedną stanie? — Samą zostawić tu, to okropność. Dla jej rodziców chciałbym, aby przynajmniej ciało jej po śmierci było uszanowanem.

— Bądź spokojny, ja zostaję — odezwał się brat Karol.

— Nie opuścisz jej?

— Przyrzekam ci to, a jeżeli będą mnie potrzebować, powierzę ją któremu z naszych. Mamy w Champs Elysée ambulans dozorowany przez brata Filipa i kilka siostr miłosierdzia, do których się Anna przyłączyła. Między temi ludźmi co tu ciągle wychodzą i przychodzą, może znajdę jakiego posłańca i zawiadomię ich. A więc możesz iść spokojnie i niech cię Bóg prowadzi.

Henryk uścisnął w milczeniu rękę tego starca pełnego poświęcenia, schylił z uszanowaniem głowę przed zemdloną Noémi i z pośpiechem wyszedł z salonu.

XXXI

SALON-AMBULANS.

Gdy Henryk odszedł, brat Karol zapuścił rękę w jedną ze swych szerokich kieszeni, i wyjął z niej pugilares z chirurgicznemi narzędziami i pudełko zawierające mnóstwo różnych flaszeczek, z których wybrał jedną. Wziął z niej kilka kropel jakiegoś płynu i nacierał niemi delikatnie skronie Noémi, gdy osoba dość pospolita z powierzchowności, lecz zapewne odważna i miłosierna, która się dotąd innemi rannymi zajmowała, zbliżyła do niego.

— Cóż ta biedna pani mogła tam robić? — powiedziała wzdychając; — czyż może komu przyjść do głowy spacerować po ulicach w podobnych chwilach? Czy przychodzi do siebie biedaczka?

— Tak pani, zemdlenie ma się ku końcowi.

— Trzebaby ją rozebrać?

Brat Karol spojrzał w około siebie.

— Rozebrać? zapewne — odpowiedział — jeżeli pani ma jakie łóżko do odstąpienia.

— Niestety! nie mam żadnego. Jestem odźwierną w tym domu, lecz nie mam kluczy a drzwi są bardzo mocne. Widzi pan, dałam wszystko co miałam z pościeli, tem gorzej dla kanapy, ale cóż robić.

— Wiem że jakaś ulga byłaby możebną — mówił brat Karol — gdyby łóżko być mogło. W każdym razie czekajmy aż przejdzie omdlenie. Czyby pani nie została przy tem biednem dziecku?

— Niepodobna mój panie, mam tu jeszcze dwóch rannych w mojej izbie, tych dwóch — dodała ręką wskazując na dwie niekształtne postacie ludzkie rzucone w głąb salonu, i jeszcze mi innych przyniosą.

— Bo ja tu nic nie mam do czynienia — szepnął brat Karol patrząc na Noémi—a tam mnie czekają.

— Gdzie panie?

— W ambulansie umieszczonym w Pałacu Przemysłu.

— Czy pan jesteś doktorem?

— Brat Karol kiwnięciem głowy dał znak potwierdzający.

— Ach panie! proszę, choć rzucić okiem na naszych rannych — zawołała miłosierna kobieta.

— Bardzo chętnie, lecz w zamian, zostań pani przy tej młodej osobie, którą obiecałem że nie opuszczę.

— Przez chwilę chętnie pana przy niej zastąpię. Otóż mój siostrzeniec wraca, świecę panu potrzyma.

A skinąwszy ręką na chłopca dwunastoletniego, który swą pomięszaną twarzyczkę we drzwiach ukazywał:

— Chodź tu Wiktorze! — zawołała.

Wiktor przybiegł.

— Drugich przynoszą — powiedział z ogniem — naliczyłem aż pięciu.

— Ależ to nadto! — odpowiedziała poczciwa kobieta. Trzeba będzie drzwi zamknąć. Wiktorze weź tę świecę i poświeć panu.

— Zaczekaj chwilę — odezwał się brat Karol zatrzymując Wiktora za rękę — nie masz miny tchórza.

— On? — zawołała odźwierna — to wcielony dyabełek mój panie.

— Moje dziecko — ciągnął brat Karol —czybyś się odważył pójść aż do Pałacu Przemysłu?

— A dobrze panie! to jest obywatelu. Czy wam obywatelu potrzeba mówić?

— Mów panie.

— A więc panie, od kiedy federaliści opuścili naszą barykadę, granaty przelatują wprawdzie w powietrzu to tam to owdzie, lecz takie sprytne zuchy jak ja drwią z nich sobie.

— Jeżeli tak, to powierzę ci karteczkę. Odniesiesz ją do Pałacu Przemysłu, zapytasz o IV salę i o doktora Bihannic lub pannę Darganec, albo wreszcie o którąkolwiek siostrę miłosierdzia. Te trzy nazwiska będą na adresie. Natychmiast wrócisz z odpowiedzią albo przyprowadzisz osobę, która będzie mogła ci towarzyszyć.

— I bezpieczną drogą; bądź pan spokojny.

Brat Karol wziął kartkę papieru ze swego szerokiego pugilaresu, i szybko ołówkiem nakreślił następujące wyrazy:

„Drogie dziecię!

„Henryk, dzięki Bogu, zdrów zupełnie.

„Panna Drassart umiera w prywatnym domu przy ulicy Saint-Florentin. Czy odważysz się przyjść aż do niej? W każdym razie przyślij jedną z naszych siostr. Niech przynajmniej nieszczęśliwe dziecko ma kobietę przy sobie, gdy przyjdzie do przytomności. W przestankach między młdościami które coraz częściej powtarzać się będą w miarę gasnącego życia, odzyska wszelką władzę umysłu, a wiesz jakiemi smutnemi uczuciami zawsze się odznaczała. Nie trzeba opuszczać tego ciała, a tembardziej dać zaginąć tej duszy.

Niech cię twe serce natchnie a anioł stróż prowadzi.

Karol Bihannic“

— Oto masz — powiedział zacny starzec składając papier we czworo i oddając go Wiktorowi — jeżeli się prędko sprawisz dostaniesz pięć franków.

Chłopiec wybiegł jak szalony.

— A teraz, cóż mam czynić? — mówił dalej brat Karol.

Odźwierna ręką w koło powiodła.

— Opatrz pan ich — powiedziała — lecz zacznij proszę od tego co jest w mojej izdebce, drzwi na prawo w głębi, nazwisko moje nad niemi pani Barlot.

Brat Karol wziął świecę i udał się do izby odźwiernego.

Odźwierna zostawszy przy Noémi, zaczęła się jej przypatrywać i spostrzegła że daje słabe oznaki życia. Tym tak zawsze prawie pewnym instynktem kobiecym zaraz zrozumiała w czem jej ulgę przynieść może.

Odpięła elegancki pasek skórzany na którym zawieszony był cyzelowany sztylet i kieszonkowy rewolwer, zdjęła, a raczej porwała lub obcięła wszystko co w jej ubraniu mogło przeszkadzać słabemu i nierównemu oddechowi zdradzającemu chwilowy powrót do życia.

Potem zajęła się ulżeniem głowy Noémi, obciążonej dziwnem i skomplikowanem uczesaniem. Wyjęła jedną po drugiej długie szpilki przytrzymujące kokardy, fałszywe warkocze, fałszywe loki i oswobodzona głowa Noémi mogła się mniej boleśnie oprzeć na mahoniowej poręczy.

W tem to położeniu stosunkowo dość wygodnem, otworzyła ona oczy. Wzrok jej niepewny błądził w około. Chciała się poruszyć, lecz gwałtowny ból uczuwszy, słabo krzyknęła.

W tej chwili brat Karol się ukazał, a za nim postępował ponury orszak, żołnierze linjowi nieśli na skrzyżowanych karabinach człowieka, którego złożyli na posłaniu na prędce przez doktora urządzonem. Żołnierze odeszli, doktór obejrzał przybyłych i wrócił do kanapy gdzie leżała Noémi. Popatrzał na tę twarz bladą i zmienioną napiętnowaną jakimciś dzikim wyrazem, zapowiadającym więcej niż co innego, przebudzenie się jej myśli.

— Jakże pan znalazł tych biednych ludzi? zapytała odźwierna przerywając ten niemy egzamin.

— W twojej izbie zastałem jednego już nieżywego, a drugiego śpiącego snem dobrym, za parę dni wyzdrowieje zupełnie. To jest żołnierz z armii ruchomej i kobieta, którzy tej nocy nie przeżyją federalista mający mało znaczącą ranę i młoda dziewczyna; jego córka, jak mi się zdaję znajdują się już w ostatniej chwili swego życia. Za chwilę już do żyjących nie będą należeć.

— To okropne! jęczała odźwierna. Nie chcę aby mi ich więcej przynoszono, bo głowę stracę.

— W tych opłakanych czasach, potrzeba jednak ją zachować; gdy nie można uleczyć, należy ulżyć przynajmniej. Lecz zdaję mi się, że słyszę głos mego małego posłańca?

Pan Karol nie mylił się wcale.

Był to powracający Wiktor, za nim szła Anna Darganec i Maïa przerażająco blada.

— Oto jest panie, powiedział mały Wiktor wskazując ręką na Annę. W dobrą właśnie chwilę prowadziłem panią, bo nic nam koło uszów ani razu nie zaświstało, nieprawdaż pani?

Anna go już nie słyszała, rzuciła się ku Noémi.

Podczas tych nieszczęsnych wypadków, nabyła ona można powiedzieć wiedzę życia i za pierwszem wejrzeniem rzuconem na twarz młodej dziewczyny, oczy jej łzami się napełniły.

— Więc rzeczywiście ratunku dla niej nie ma? rzekła z cicha zwracając się do brata Karola.

Ten pochylił głową potwierdzająco.

— Nie można ją przenieść? ciągnęła Anna.

— Nie; najmniejsze wstrząśnienie wywołałoby krwotok któryby ją udusił. Przy zwykłym stanie rzeczy, przy niektórych sposobach przenoszenia, jeszcze by się to dało uskutecznić, lecz brak nam wszystkiego i droga jest zamknięta.

— To okropnie! Szepnęła Anna.

— Okropnie! powtórzył brat Karol, lecz powiedz mi moje dziecko, czy mnie tam potrzebują?

— Obecność twoja jest niezbędną mój wuju, dwie amputacye ciebie czekają. Wuj Filip chciał cię zastąpić lecz nie dobrze już widzi i ręka mu się trzęsie, siostry więc nie pozwoliły aby rozpoczynał operacyą.

— Czy będziesz miała odwagę zostać w tej sali Anno, z temi umarłymi i umierającymi?

— Mam nadzieję że Bóg mi ją da. Zresztą mam tu to samo co tam zostawiłam. Nasz ambulans przepełniony rannymi. Teraz gdy wiem że Henryk żyje, będę mieć więcej sił.

— Kiedy tak, to cię zostawiam moje dziecko, wprawdzie z żalem, lecz nie widzę aby ci tu jakie niebezpieczeństwo groziło. Ta kobieta wydaje mi się uczciwą i dobrą, a muszę biedz na moje stanowisko.

— Jakież są twoje przepisy dla Noémi, mój wuju?

— Dla ciała nie mam żadnych. Będziesz się starała ulżyć jej o ile można, lecz wszelkie lekarstwa byłyby bezskuteczne. Dla duszy, lepiej jak kto inny potrafisz ją na śmierć przygotować, a jeżeli spotkam jakiego księdza przyszlę ci go na wszelki wypadek. Dla tego nawet wezmę z sobą mego małego kuryera. Miej odwagę, i niech cię Bóg strzeże od wszelkiego niebezpieczeństwa.

I brat Karol przywoławszy Wiktora, który ciekawie przypatrywał się trupom, skinieniem głowy pożegnał odźwierną zajętą w głębi sali i odszedł swym spokojnym krokiem mając za sobą sprytnego chłopaka.

XXXII.

POSĘPNA NOC.

Anna podsunęła do kanapy taboret od fortepianu, który dzięki swej nieużyteczności stał jeszcze w kącie, nie mogąc służyć do żadnego posępnego użytku. Zakręciła jego drewnianą śrubę, i usiadła przy kanapie na wysokości dozwalającej ułożyć jej, to na swem ramieniu, to na kolanach, bladą głowę Noémi poruszającej się z trudnością na mahoniowej poręczy. Potem wyjęła z kieszeni flakonik i odkorkowała go.

— Och! eteru! wyjąknęła ranna wyciągając rękę.

Anna włożyła jej w rękę flakonik i Noémi silnie wciągała gaz dobroczynny.

To ją ożywiło, powieki jej zadrgały, otworzyła oczy i rzuciła w około siebie spojrzenie niepewne i straszliwe.

Usta jej konwulsyjnie się poruszyły, lecz Anna nie mogła zrozumieć znaczenia słów które się z nich wyrywały.

Badała w boleśnem milczeniu twarz młodej dziewczyny.

Nie były to tylko ponure objawy ostatecznej walki między życiem a śmiercią, które rysy jej tak zmieniały; egzaltacya całej jej istoty, która doszła była do swego szczytu od czasu ich rozstania się, musiała im nadać oddawna to piętno dzikości.

Przyzwyczajenie jakiego nabrała ściągania gwałtownie swych czarnych brwi, wyżłobiły między niemi dwie prostopadłe zmarszczki, nadające całości jej rysów wielką energję jako też i dziwną szorstkość; chudość jej, żółtawa barwa jej twarzy, kąty ust wyra-

zem goryczy pofałdowane szeroko, podsiniałe oczy, wszystkie te oznaki zdradzające nadzwyczajną czynność umysłu, pożerający ogień duszy, rozdrażnienie nerwów, czyniły ją starszą o jakie lat dziesięć.

Eter nie zupełnie przezwyciężył Noémi i dopiero chrapliwy jęk jednego z rannych, wyprowadził ją nagle z tego odrętwienia.

Szybko ocierając ręką krew, co jej do ust nabiegała, drugą do ócz podniosłszy, wyjęknęła:

— Gdzież jestem?

Anna rękoma objęła lekko jej głowę i odpowiedziała.

— Na moich rękach.

Wzrok Noémi podniósł się na nią.

— Anna! wymówiła wyraźniej.

Lecz twarz jej nie rozjaśniła się wcale i rysy zmienione swą dziką szorstkość zachowały.

— Czy bardzo cierpisz Noémi? z uczuciem zapytała Anna.

— Chwilami... Co znaczą te krzyki?

— Ból je wywołuje, nieszczęśliwym rannym, których przyniesiono do tego salonu.

— Ach! więc już nie jestem na ulicy? Nie... jestem ranioną?

— Tak jest, niestety!

— Ciężko... śmiertelnie — może?

Anna milczała.

d. c. n.

LIST TRZECI

Z NOWEGO YORKU DO CHICAGO,

w Ameryce północnéj

przez

SYGURDA WIŚNIOWSKIEGO.

(Ciąg dalszy).

Wreszcie zdało mi się iż nie pod kaskadą stoję, lecz że wody otaczają mnie dokoła. Jakby przeniesiony do jakiej podmorskiej groty ze szkła i turkusów i srebra ulanej, piękniejszej jak wszelkie cuda wyobraźni autora tysiąca i jednej nocy, piękniejszej nawet jak sny poety, patrzałem na ocean nurtów i piany. Nurty te już nie mijają mnie, lecz zdaje mi się iż w samym ich środku stoję, że tak mnie otoczyły dokoła iż stałem się ich osią. Krążą do koła mnie, otaczają mnie czarodziejskim wiankiem kryształów, roztaczają się nade mną, pode mną i obok mnie w cudowne i olbrzymie łuki. Jakaś muzyka, głośniejsza jak wszelkie słyszane dotąd, groźniejsza jak ryk grzmotów, a przecież nie rażąca ucha, miła do słyszenia i smętna nawet, ożywia ten wir przejrzysty, opasujący mnie dokoła.

Stałem tu nie wiem jak długo. Byłbym został tam dzień cały, może i noc całą. Lecz tuż obok mnie zjawił się przewodnik prowadzący turystów. Znikł natychmiast cały urok, i znów nie w pałacu z wód byłem lecz pomiędzy czarną skałą a srebrzystą rzeką. Muzykę szumu zmąciły głosy ludzi krzyczących z całej siły, by prozaiczne ich uwagi i rozpływania się nad pięknością tego miejsca przebiły się do mego ucha. Wyłamawszy czem prędzej ze skały drobny kamyczek na pamiątkę, umknąłem z miejsca gdzie już nie mogłem wywołać owego wrażenia, jakie ogarnia widza o duszy cokolwiek wznioślejszej, gdy wejdzie samotnie pod wodospad. Ileż to już razy w życiu przekląłem tych nędznych wydrwigroszów, polujących na mą zdawkową monetę, i przerywających rzadkie chwile szczęścia i zachwytu wywołanego widokiem cudów bożych.

Wróciłem do Suspension bridge na obiad, zjadłem go po amerykańsku, to znaczy połykając nie przeżute mięsiwa i jarzyny. Nie obtarłszy ust nawet i nie zapaliwszy cygara znów biegłem co tchu ku Clifton.

Tym razem wydała mi się Niagara jeszcze większą, wspanialszą, okropniejszą jak z rana. Jak każde wielkie dzieło przyrody, lub prawdziwie piękny utwór sztuki; jak poezye wielkich naszych bardów, tak wodospad ten olbrzymieje i urozmaica się im częściej i dłużej nań spoglądasz. Przy setnych odwiedzinach odkryłbyś w nim nowy urok, jak przy setnym odczytywaniu niektórych znanych nam utworów odkrywamy często nowe myśli i nowy wdzięk w wyrazach.

Pozostającą część popołudnia spożytkowałem poczęści na zwiedzeniu ogromnego wiru zwanego Whirlpool, utworzonego przez Niagarę o milę poniżej Suspension bridge. Zacząwszy od mostu kolei żelaznej aż do tego miejsca bieży rzeka przez nader ciasny parów z niesłychaną wściekłością. Biada łodzi którąby porwał ów prąd spiętrzonych fal, niemniej groźnych jak owe które gruchocą statki na oceanie. Wielkość ich pochodzi z uderzeń o skały i głazy zawalając koryto rzeki. Zapory te są niewidzialne lecz się domyślasz po pianie i nurtach zdąsanych, że tam istnieć muszą.

A przecież odważył się śmiały marynarz zbiedz i po tych nurtach ku jeziorze Ontario. Parowiec Maid of the mist (dziewica mgły), wożący dawniej turystów do stóp kaskady, umknął tędy przed amerykańskiemi wierzycielami na wody Kanadyjskiego jeziora. Co za szalone przedsięwzięcie dla oszczędzenia garści złota.

Poniżej progów ujrzysz zatokę gładką jak szyba a sporą jak port morski. Wody jej obracają się bezustannie do koła, plamy, piany i kłody drzew tańczą po ich powierzchni, a cokolwiek wrzucisz do tego zaklętego koła bierze udział w tych pląsach i okrąża przystań bez ustanku.

Zdziwiony nie możesz pojąć jak wartka rzeka tak nagle się zmieniła w wir gładki, okrążony półkolem skał mających 200 stóp wysokości. Kędyż uchodzi woda Niagary?

Dopiero gdy idąc wzdłuż przystani spojrzysz ku przeciwnej stronie, ujrzysz wyłom w skale przepuszczający rzekę. Woda ściśnięta w wąwozie, wymyka się przezeń pod prostym kątem do pierwotnego swego koryta. Jak gdyby jednak koniecznie chciała przebić sobie drogę przez skały po naszej stronie, wygryzła w nich tę zatokę o której wspomniałem.

Skały wiążące rzekę składają się, jak zapewne wiadomo oczytanym czytelnikom, z wapieuia. W bliskości zatoki ujrzałem jednak ciekawość geologiczną, a gdy żaden znany mi opis Niagary nie wspomina o niej, rozpiszę się obszerniej.

Byłto olbrzymi głaz szarego, czarną hornblendą centkowanego granitu. Taki granit zwykł tworzyć góry formacyi plutonicznej i składa ość ziemi. Głaz spory jak wóz i zaokrąglony jak gdyby daleką odbył podróż podwodną, leżał pomiędzy wapieniem, głęboko wgrzebany w ziemię. Oczywiście był to tak zwany głaz erratyczny, o których zagadkowem pochodzeniu tyle napisali geologowie. Czy i jego przyniosła tu morena lodowca, czy też przypłynął tu na lodowej wyspie, gdy jeszcze Atlantyk pokrywał tę część świata? Bóg wie co go tam przyniosło, lecz leży tam do dziś dnia, jako świadek wielkiej jakiejś rewolucyi, która wyrwawszy go z gór ojczystych cisnęła go tu pomiędzy formacye napływowe. Czy już i inne oko uderzyła obecność tego dziwnego kamienia czy dopiero mój górnictwem zaprawiony wzrok, odkrył tę ciekawość geologiczną?

Za powrotem do Suspension, przeszedłem się po mieścinie. Wygląda ono jak pewne znane mi miasteczko australskie, gdzie na przyjęcie księcia Edymburga karczowano pieńki z głównej ulicy. Drewniane domki z malowanych tarcic je składają, oprócz rzeki nie ma tu więc innych ciekawości, z wyjątkiem dwóch niedźwiedziów trzymanych w jednym z hotelów.

Wieczór upłynął dość mile w hotelu przy gawędzie z Kanadyjczykami. Dostrzegłem pewną trudną do określenia, lecz łatwą do uczucia różnicę pomiędzy nimi a obywatelami Stanów Zjednoczonych. Mniej w nich widzę owej rzutności i gotowości do lada jakich przedsięwzięć jak w Amerykanach, więcej za to ujmują cudzoziemca dobrodusznością.

I gospodarz hotelu i rodziny mieszkające w nim, i służba nawet, uskarżały się na Kanadę, na klimat jej, na powolny sposób wzbogacania się w kolonii angielskiej. Gospodarz twierdził iż chętnieby się wyniósł do Stanów Zj., gdyby mógł sprzedać swą własność, dziewczęta nawet usługujące przy stole, wzdychały za wyniesieniem się do Rzeczypospolitej. Nie zatrzymawszy się dość długo w Kanadzie nie mogę wytłomaczyć tego pociągu w sercu mieszkańców jej, do opuszczania równie wolnej jak Stany Zj. ojczyzny i wynoszenia się na południe. Pewno srogość zim tutejszych przyczynia się wielce do wyludniania Kanady, to jednak pewną jest rzeczą iż tysiące kolonistów opuszcza ją corocznie, by osiedlić się w Stanach Zj. i że mała ilość przywiezionych z Anglii wychodźców w niej pozostaje na zawsze.

W późniejszych listach wypadnie mi zapewne wspomnieć o zepsuciu politycznem, istniejącem w Stanach Zjednoczonych. Dzięki gazetom angielskim, słyszymy często w Europie o tej korrupcyi, którą tak przesiąknęli republikanie iż od prezydenta do najniższego urzędnika, trudno znaleźć uczciwego sługę publiczności. Póki się nie przekonam naocznie o niej, nie koniecznie uwierzę wszystkim tym przesadzonym wieściom, lecz jeżeli przekonam się iż społeczeństwo tutejsze bardziej od naszego zepsute, nieomieszkam wyznać prawdę. W każdym razie i Kanada nie uczciwsza od Stanów Zj. Wszak pierwszy minister Kanady musi właśnie teraz stawać przed kratki sądowe za najobrzydliwsze przekupstwa i oszustwa i za zmowę z kompanją budującą kolej od Ottawy (stolicy) do Spokojnego Oceanu. Za liche 100000 dolarów, pozwolił on jej przekupić wyborców w zachodnich prowincyach i członków izby niższej, by za pomocą ich głosów uzyskać koncesye szkodliwe dla kraju i obszary ziemi niezmierzone, oraz prawo zalania Europy akcyami bez wartości. Pieniądze wzięte za te akcye, wpłynęły do kieszeni przedsiebiorców; kolei nie skończą i za pół wieku, a pan minister pewno się wykłamie przed sądem i zostanie nadal ministrem. Widocznie i konstytucya w Kanadzie i przykład zacnej królowej, nie ustrzegą kraju od szajki złodziejów, jeżeli znaczna część ludności popiera ich swemi głosami. Nigdy jednak nie dopuścił się rząd w Waschingtonie podłości jak jej rządzcy Kanady dopuścili się przeciw deputowanym z prowincyi francuzkiej Red River, która nie dawno podniosła szczęśliwy rokosz przeciw centralnej angielskiej władzy. Dowódzcy rokoszu, ufając w traktat i amnestyę i wybrani na członków do parlamentu kanadyjskiego przybyli do Ottawy, gdzie ich natychmiast schwytano by ich stawić przed sąd jako zbójców i buntowników. Panowie Anglicy! inaczej od was obeszli się ogadywani Amerykanie z przywódzcami południowemi.

O ósmej wieczorem przybył z Nowego-Yorku pociąg emigrancki jadący na Zachód. Chętnie byłbym pozostał dłuższy czas w Suspension bridge i raz jeszcze przypatrzył się Niagarze, lecz rozsądek kazał nie marnować czasu. Poszedłem więc na dworzec, obiecując sobie tylko iż kiedyś, gdy mrozy zetną rzekę lodem i zmienią część wodospadu w cudne jaskinie

kryształowe, wrócę tu i ujrzę go w jeszcze bardziej uroczem świetle jak dziś.

Na dworcu miałem inny dowód jak kompanije nowojorskie pomiatają emigrantami.

Z przyczyny iż $^{3}/_{4}$ przybyszów do Castle garten składa się z Niemców, prawie wszyscy konduktorowie wagonów emigranckich i dozorcy dworców przeznaczonych na pomieszczenie ich, lub są Niemcami lub też mówią po niemiecku. Ludzie ci obchodzą się zwykle z poruczonemi ich pieczy podróżnemi jak pruski kapral z rekrutem. Przemawiając do nich używają słowa *Du* zamiast *Sie*, przy wpędzaniu do wagonów potrącają ich jak paki towarów.

Uważałem już na stacyach pomiędzy nowym Yorkiem i Suspension bridge, iż wszyscy urzędnicy przemawiali i do mnie po niemiecku, chociaż angielski mój akcent raczej brzmi ze szkocka jak z niemiecka i nawet Anglicy biorą mnie za Szkota. Oczywiście iż odpowiadałem na ich germańskie pytania z ostrzeżeniem, iż będąc na amerykańskiej ziemi po amerykańsku chcę być pytanym.

Za przybyciem do Suspension bridge miałem utarczkę z Niemcem dozorcą dworca z tejże samej przyczyny. Człowiek ten nie tylko iż w wagonie przez *du* mnie powitał, lecz gdy nie do lichego domu zajezdnego (boarding house) trzymanego przezeń poszedłem lecz do porządnego Kanadyjskiego hotelu, coś tak bąknął niegrzecznego iż musiałem go wziąść za kołnierz, a raczej potrząść nim cokolwiek z angielska. Ten ostatni dowód mej znajomości anglosaskich zwyczajów dowiódł mu wreszcie, iż nie z Niemcem miał do czynienia.

Są ludzie, którzy okazują dobre strony charakteru dopiero po skarceniu; do takich należał i mój nowy znajomy. Gdy nazajutrz wieczorem wróciłem do dêpot, przyjął mnie bardzo grzecznie pomimo wczorajszej awantury, a gdy zjadłem wieczerzę w jego domu i trochę wina wypiłem, począł mi nadskakiwać i przepraszać za wczorajsze nieporozumienie.

Wreszcie przybył pociąg z Nowego Yorku. Suspension bridge tworzy kres kolei nadhudsońskiej, podróżni więc jadący do Kanady lub na Zachód zmieniają tu kary. Niemiec nasz dopilnował tej zmiany, i przepędził ludzi z jednych wagonów w drugie. Mnie, ze względu na złoty zegarek, sakiewkę pełną i wczorajszą burdę, prosił bym siedział w sali, gdyż pociąg i za godzinę jeszcze nie odejdzie.

Po chwili weszła do sali młoda, bardzo przystojna i przyzwoicie ubrana dziewczyna. Z płaczem poczęła się uskarżać dozorcy, iż jeszcze w przejeździe z Castle garten do dworca skradziono jej torbeczkę ręczną zawierającą jej pieniądze. Szkodę taką mógł wyrządzić tylko jeden z urzędników lub woźnica przewożący podróżnych z koszar do kolei, a więc także figura urzędowa.

Pomimo iż natychmiast po przybyciu na dworzec upominała się o swą torbeczkę, nie słuchano jej zażaleń i wsadzono ją gwałtem prawie do wagonu, w którym spędziła 24 godzin jazdy bez żywności, niemając pieniędzy by płacić za strawę na stacyach.

d. c. n.

KORESPONDENCYA ZAGRANICZNA.

Londyn z Października.

Lord Ripon. — Przemówienie w parlamencie Wiliama Lawson. — Pomnik dla Dra Priestley, w Birmingham. — Statua Sir Tytusa Salt, dobroczyńcy ludzkości, w Bradford. — Lady Burdett-Coutts. Posiedzenie inżynierów-mechaników w Kardiff. — Wyprawa naukowa korwety Challenger. — Nowe Chicago. — Teatra. — Powieści.

(Dokończenie).

Według kierunku zapowiedzianego w ostatniem sprawozdaniu, *Challenger* unosi się teraz po morzach otaczających archipelagi Malajskie; zapał uczonych i oficerów załogi nie ustaje, i można się spodziewać że oddadzą ważne usługi naukom przyrodzonym i fizyce, i zasłużą sobie na wdzięczność współczesnych i potomności.

Wszyscy podziwiali nagłe odbudowanie się Chicago, które jak nowy feniks piękniejsze jeszcze powstało z popiołów; otóż toż samo, tylko na mniejszą skalę, ma miejsce i w Anglii. Przed dwudziestu-pięciu zaledwie laty, Burrow-in-Turness było nędzną miejscowością, posiadającą ledwie kilkanaście nieregularnie rozrzuconych domów, a cała ludność składała się najwięcej z dwustu wieśniaków. Dziś Burrow jest pięknem miastem dobrze zabudowanem i brukowanem; starannie utrzymywane, posiada port, trzy doki, gmachy publiczne, warsztaty morskich budowli, i 35,000 mieszkańców. Ludność ta składa się przeważnie z kupców, rzemieślników, marynarzy i robotników: powiększała się w następującym porządku. W roku 1849, było mieszkańców 200, w 1851 trzy tysiące, w 1860 siedm tysięcy, w 1871 ośmnaście-tysięcy, a według tegorocznego spisu, liczy już obecnie 35,000. Z portu miasta Burrow, odpływają codziennie statki parowe do Belfastu, Glaskowa, Kanady, etc. Jest miejscowa giełda, targ, klub robotników, szkoły; ciągle przybywają nowe domy i ludność się powiększa. Cóż tedy jest powodem tak nadzwyczajnego wzrostu miasta Burrow? Kopalnie rudy kruszcowej bardzo rozległe, w około których powstały wielkie fabryki i zakłady, dla dogodności których pourządzano liczne odnogi dróg żelaznych i statków parowych a dla tych znowu urządzono port. Inne czasy, inne zwyczaje. Dawniej miasta wznosiły się około wieży kościelnej, dziś około fabrycznego komina.

Z końcem sierpnia skończył się „letni sezon“ kilku teatrów, a z początkiem września zaczyna się „jesień dramatyczna“. Ostatnie przedstawienie poprzedzające zamknięcie teatru Haymarket, jest rodzajem uroczystości, na której p. Buckstone, artysta i dyrektor, wypowiada „speech“ zwiastujący widzom treść utworu dramatycznego, jaki przedstawi powróciwszy do Londynu z wycieczki na prowincyę. Zapowiedziana obecnie sztuka jest dziełem poety Buchanau, do której treść zaczerpnął z romansu *Woodstock*. Tytuł jej: Szalony książe.

Głównym bohaterem tej sztuki jest Karol II, po bitwie pod Worcester, który szaloną wesołością z jaką odgrywał rolę tułacza, zjednał sobie przezwisko szalonego księcia. Ukrywa on się w zamku Roscobel pod opieką trzech sióstr, ślicznych rojalistek, którym książę zaleca się, zgodnie z tradycyonalnym swoim charakterem. Każda z sióstr ma kochanka; trzeba więc oszukiwać jednocześnie trzech zazdrośników i komisarzy rzeczypospolitej. W końcu zadenuncyował go najzazdrośniejszy z kochanków; przychodzą go aresztować, wołając aby się poddał. Na to wezwanie książę wychodzi z pokoju w którym się ukrywał, i z szyderskim spokojem powiada kto jest i że nie myśli uciekać. Lecz jest to tylko komiczna mistyfikacya, gdyż zamiast Karola Stuart ukazała się Eleonora-Jane, najmłodsza i najpiękniejsza z trzech sióstr, a zarazem najzagorzalsza rojalistka i najwierniejsza swemu narzeczonemu. Zamieniła ubiór z księciem, i wszystkich tym sposobem wywiodła w pole.

Oprócz *Szalonego księcia*, p. Buckstone zapowiedział wznowienie *Lorda Dundreary*, *Powrót z Ameryki* i przerobionego *Księcia Job*.

W *Teatrze książęcej* przedstawiono dramat „Zaginiona w Londynie.“ Jest to sztuka doskonale grana i bardzo zajmująca.

Job Armroyd, górnik z hrabstwa Lancastre, człowiek bardzo zacny i uczciwy, tylko nieco szorstki w obejściu, zaślubił sierotę Nelly; powierzona ona jego opiece przez współtowarzysza który znalazł śmierć podczas wybuchu w kopalni. Kocha on ją szalenie, wierzy że jest kochany wzajemnie i opowiada towarzyszom jak jest szczęśliwy, gdy w tem wchodzi Tiddy, żyjąca gazeta górników, i bez złej myśli wypowiada świeżą wiadomość, że Nelly dała się zbałamucić właścicielowi kopalni, p. Featherstone i pojechała z nim na ląd stały. Rozpacz nieszczęśliwego Joba, który przysięga ścigać występną parę.

W akcie drugim rzecz przenosi się do Londynu; tam Nelly uchodząca za żonę swego uwodziciela, otoczona jest zbytkiem i rozkoszami, i uważana jak prawdziwa lady... Wśród balu lśniącego przepychem i zbytkiem, Job poznaje żonę; scena ta w sali balowej dziwną stanowi sprzeczność ze sceną rozpaczy Joba w ciemnych podziemiach kopalni. Wzruszona Nelly odchodzi z mężem, i teraz znowu uwodziciel szuka jej wszędzie.

Featherstone jest przekonany że Nelly tęskni i pragnie wrócić do niego, i pisze do niej list w którym przyrzeka iż wyzwoli ją znowu z przemocy męża, lecz list ten zostaje przejęty przez Joba, który oczekuje na zwierzchnika swego w miejscu wyznaczonem przez Nelly. Tu odbywa się scena nader dramatyczna, wyzwanie i zaraz pojedynek na przygotowane przez Joba nabite pistolety. W tem wpada Nelly i chcąc rozdzielić walczących, rzuca się w objęcia męża i ginie od kuli mającej ugodzić w pierś jego.

Z nowych powieści i romansów nie wiele wymienić teraz mogę; najlepsze wychodzą w pismach peryodycznych i dopiero są rozpoczęte. W ogóle teraz modne tu są i poszukiwane powieści mniej więcej mitologiczne. Mistress Biask wydała legendy i podania ludowe hiszpańskie i włoskie; teraz przygotowała do druku legendy Tyrolskie.

Powieść *Johny Ludlow*, bezimiennego autora, opisuje z zajęciem wypadki z rzeczywistego życia. Nowy romans Wielkie Collins *Frozen-Deep* zaczął wychodzić w *Temple-Bar Magazine*.

B. I.

Przegląd literacki.

Był czas, w którym przeglądy prasy peryodycznej stały się niejako modnemi, i połowa większa pism naszych wzajemnie o sobie zdawała sprawozdania. Żeby dział ten nie był pożytecznym, tego bezwarunkowo powiedzieć nie można, ale prowadzenie jego przedstawiało trudności prawie niepokonane, jeżeli zważymy różnorodność i obfitość artykułów, wymagających obszernego rozpisania się. To też owe przeglądy były rzeczywiście przeglądaniem tylko często samych tytułów prac o których pisano, zdania zaś o nich wyrastały z osobistych usposobień piszącego dla krytykowanego pisma lub autora, zwykle z góry układane. Jedna tylko Biblioteka Warszawska i to w roku bieżącym, i p. L. Szczerbowicz w Gazecie Polskiej, co wolni w zupełności są od tego zarzutu, a choć na zdania ich nie zawsze zgodzić się można, przyznać jednak należy że obowiązek sprawozdawczy spełnili sumiennie, że co sądzili to przeczytali z pewnością, czego o innych sprawozdawcach twierdzić niepodobna.

Tygodnik nasz sprawozdań takich nie pomieszczał, dorywczo tylko robił wzmianki to o tem to o owem piśmie, jeżeli coś znalazł w nich godnego nagany lub pochwały. Czujną tę baczność pragniemy obecnie systematyczniej rozwinąć, ale jedynie poświęcimy ją trzem pismom: Bibliotece Warszawskiej, Niwie, i Opiekunowi Domowemu. Pierwsze dwa bowiem jako poświęcone nauce a trzecie opiece domowej, zasługu-

ją na wzgląd szczególniejszy, bo jeżeli: *wiedza to potęga*, a rodzina jedno z ogniw wielkiego społecznego łańcucha, to wiadomości jak pisma te odpowiadają swemu przeznaczeniu, zarówno są ciekawe jak pożyteczne. Nie będą to jednak przeglądy ściśle krytyczne, tylko wskazówki, co gdzie znajdziemy zasługującego na polecenie lub przygange, szczególniej gdy nauka przedstawi się jak trucizna, a rada jak jad mogący strawić i skruszyć główne podwaliny społecznego porządku. Zdania te przecież zawsze usprawiedliwione zostaną i w każdym razie jako wypowiedziane publicznie, przyczynią się wielce sumienną pochwałą do upowszechniania pism wspomnionych, a szczerem wytknięciem błędów do ich ulepszenia.

Wprowadzając myśl naszą w wykonanie, dajemy dziś *Przegląd Biblioteki Warszawskiej*.

Redakcya.

Biblioteka Warszawska

zeszyty za Wrzesień i Październik r. b.

Oprócz dalszego ciągu znakomitej powieści Kraszewskiego „Brüchl," doskonale malującej typy niedołężnego Sasa i otaczających go przebiegłych zauszników, o której przed ukończeniem trudno mówić ułamkowo, nie mało innych jeszcze artykułów poważnych z niejednej dziedziny znajdujemy we wrześniowym i październikowym zeszytach Biblioteki Warszawskiej.

Na pierwszem miejscu położylibyśmy gruntowne recenzye dzieł historycznych i filozoficznych, zawarte w zeszycie wrześniowym, a po części i w październikowym (recenzya dzieła Maciejowskiego o historyi włościan). Już to nie od dzisiaj jest pewnikiem, że najlepsze recenzye znajdujemy, choć niezbyt często, na kartach Biblioteki. Tak np. p. Chmielowski może się słusznie cieszyć z tego, że los dał mu takiego recenzenta jak p. Struve (Wrzesień). Wprawdzie krytyk wykazał że autor rozprawy „O warunkach powstawania woli" zajmuje się przeważnie zewnętrznymi objawami woli, a właściwego rozbioru tego objawu psychologicznego nie dokonał; wszelako z największą sumiennością oddaje zasłużone pochwały dodatnim stronom pracy p. Chm., a przedstawiając jego wywody w świetle naukowem bezstronnej filozoficznej metody badań, samą swoją recenzyą wzbogacił ubogie nasze piśmiennictwo psychologiczne tak że niejeden z pożytkiem może przeczytać ten rozbiór, jako przyczyna do kwestyi woli. Nie każda praca poważna zdoła u nas, niestety, doczekać się równie poważnego rozbioru; najczęściej bowiem — niech to nie będzie do nikogo przymówką — sądzimy o dziełach z okładek, piszemy krytyczne sprawozdanie po przeczytaniu treści lub kilkunastominutowem przelotnem przejrzeniu dzieła, a to dla tego, że postępować inaczej „nie opłaci się" pod tym lub owym względem, a tych względów tak wiele....

Zasługują również na uwagę badania historyczne o rodzinie Pułaskich przez p. Glogera i praca p. Wejnerta o najdawniejszych księgarniach w Warszawie (zeszyt październikowy). Autor tego ostatniego artykułu mówi o księgarniach od czasów Zygmunta III. Wcześniejszej epoki nie dotknął, a byłoby to niemniej ciekawem. Wiadomo że drukarze krakowscy z XVI wieku byli zarazem i księgarzami; ciekawą byłoby jednak rzeczą zbadać, jaką drogą nowości literackie dostawały się podówczas do Warszawy i szerzyły się po kraju, a szerzyć się musiały w epoce tak bogatego rozkwitu piśmiennictwa, najwyższego poloru klas rządzących i żywej polemiki religijnej.

Rzecz o przejściu planety Wenery (nie wiemy co za potrzeba mówić: „planety Venus") przez tarczę słoneczną (zeszyt październikowy), nie tyle jest traktatem astronomicznym, ile bardzo zajmującą, a nawet z humorem opowiedzianą historyą badań tego zjawiska. Najwięcej miejsca poświęcił autor obserwacyom ks. Łuskiny w 1761 r. w Warszawie a jego sporom ze słynnym Duńczewskim. Rzecz czyta się z wielkiem zajęciem.

W kronice zagranicznej zeszytu wrześniowego za wiele jest o Petrarce, Laurze, a na resztę składa się głównie biblioteka francuzka. Ciekawa tu jest wiadomość o dziele słynnej darwinistki p. Royer, która prawi o zaginionej dawno Atlantydzie i rysuje jej mapy (!) Co do źródeł i dowodów swoich niesłychanych dotychczas poglądów, autorka poprzestaje na skromnem oświadczeniu że są one zbyt skomplikowane i zbyt naukowe, ażeby je mogła zrozumieć paryzka akademia. Zapewne niedługo bujna wyobraźnia pani Royer, zbogaci nas dziełem o historyi Atlantydy z dołączeniem genealogii jej królów i rysunków dzieł sztuki z tego okresu. Rzecz dziwna i smutna zarazem, do jakich nietrzeźwych wybryków doprowadza zbyteczna trzeźwość materyalistów i darwinistów! W tejże kronice jest wzmianka o naszym ziomku naturaliście Radomińskim, który niedawno odkrył w Norwegii nowy minerał.

W kronice zagranicznej zeszytu październikowego znajduje się bardzo udatny obszerny wyjątek z dzieła Janina p. t. „Paryż i Wersal przed stu laty," przepyszne opowiadanie o hrabinie Valmont dobitnie wykazuje, jak trudno nawet najtrzeźwiejszym umysłom stosować w życiu pozytywne swoje „przekonania:" życie wymaga serdecznego ciepła uczucia, a zimne wyniki racyonalizmu mrożą i ziębią. W tejże kronice zanotowany fakt ciekawy który dowodzi, że dziś jeszcze istnieje poezya na obstalunek, a przynajmniej że nawet poważne naukowe ciała w możliwość takiej poezyi wierzą. Oto akademija francuzka wyznaczyła premijum za poemat o Liwingstonie z warunkiem ażeby takowy nie zawierał więcej nad dwieście wierszy!

Dowcipny i zabawny jest przytoczony w końcu wierszyk (przekład z angielskiego) p. t. „Legenda z naszych czasów;" za treść służy zamierzone małżeństwo angielskiego magnata, do którego potrzebne jest upoważnienie kilku instancyi, a w końcu Bismarka, który ostatecznie wzrusza ramionami i odprawia proszących.... do licha.

Bez szczegółowych wiadomości o poetkach włoskich, których sława nie rozszerzyła się jeszcze nawet i na półwyspie apenińskim, wybornie mogliby się obejść nasi czytelnicy, podobnie jak i bez wielu innych luźnych notatek, w których nie ma nic prawie oprócz nazw i imion własnych. Wpływ źródeł francuzkich czasami nawet wybitnie objawia się i w stylu i języku autorki i tak np. w wadliwej deklinacyi imienia Ksenofon, od którego po polsku 7 przyp. brzmi „Ksenofoncie" (Wrzesień str. 452) i „Ksenofona" (Październik str. 78 i 106 z „francuzka de Xenophon).

W zeszycie Wrześniowym mieści się jeszcze opis muzeum Ossolińskich we Lwowie; zakład ten został uazwany *naukowym*, zdaniem naszem, nieprawidłowo, gdyż u nas *zakład naukowy* znaczy to samo co szkoła (Lehraastalt), takie zaś instytucye jak Ossolińskich, są to *zakłady*, *uczone ciała naukowe* (wissenschaftliche v. gelhrte Anstalten), a ich muzea nazywamy zwykle *zbiorami naukowemi*. Sędziwy Wójcicki ciągnie dalej swoje gawędy o Warszawie, które każdy przeczyta z zadowolnieniem.

Przy końcu dopiero wspomnimy o artykule, któregobyśmy radzi nie widzieć na kartach Biblioteki; jest to „Sfinks" przez p. Norwida, (z października). Istotnie nie wiemy co skłoniło redakcyę tego pisma, które jak ognia wystrzega się naukowej lingwistyki, do umieszczenia chorobliwego wybryku dowolnego marzycielstwa. Autor mówi tu o rzeczy i zkądinąd bardzo starej, bo o sfinksie wykopanym gdzieś w Siedmiogrodzie przed 27 laty, na którym podobało się mu wyczytać napis słowiański, ba nawet czysto-polski! W napisie tym autor widzi np. wyrazy „teorya" i „seryo" ale nie przekona nikogo że dwa te wyrazy (pierwszy grecki, a drugi łaciński) używane były w mowie Słowian przedchrześcijańskich, gdyż każdemu wiadomo że nie ma nawet i stu lat jeszcze, jak te wyrazy weszły do języków słowiańskich. O chaotycznych wywodach autora nie ma co i mówić; przypominają one historyczne badania pewnego uczonego, których zapewne dla ich głębokości nikt pojąć nie jest w stanie, a także i lingwistyczne badania w guście ś. p. Jochera, co to podsłuchał rozmowy u wieży Babel toczone jak np. jeden wołał o *wapno*, a drugi podał mu *broń* (Waffen) i t. d. i t. d. p. Norwid między innemi, każe Kadmusowi wędrować do Grecyi *z Egiptu*. (str 76).

Nie każdy, niestety, poeta może być archeologiem i lingwistą. Najsmutniejszem wszelako jest lekceważenie ojczystego języka i to przez p. Norwida, który próbował niegdyś sił swoich w poezyi i niekiedy z dość pomyślnym skutkiem. Język i styl bowiem artykułu „Sfinks" a także szyk i składnia są fatalne i nie polskie. Oto dwie próbki z samego początku (str. 74 zeszyt października).

„Zamierzając mówić o sfinksie, dwa krótkie zeznania obowiązują mnie."

„Atoli upowszechnienie to stało się dziś *ciekawością*, do odszukania nanowo *obowiązującą w sposób iż jako* oryginał bronzowy z rumowisk siedmiogrockich odgrzebać przychodziło, tak *odwzór* i wiadomość *o onymże ze śród* druków, rycin odgrzebywać wypada po kilku latach."

Takich dziwolągów nie może usprawiedliwić niczyje nazwisko ani p. Norwida ani nawet żadne większe. Dziwimy się raz jeszcze redakcyi Biblioteki, że uszanowała tak potworny język i styl, nie poprawiwszy ich należycie, gdyż według naszego mniemania, przestrzegać czystości języka jest obowiązkiem każdej redakcyi, a zwłaszcza pisma poważnego.

L. Sz. W.

Noworocznik Kaliski na rok 1875.

Obecna pora tyle płodną jest w rozlicznego rodzaju formatu, zakroju i wartości kalendarze, iż pismo któreby założyło sobie oceniać je, musiałoby oddzielną zupełnie do tego otworzyć rubrykę, z krzywdą innych ważniejszych, a wołających o swoją kolej przedmiotów. Jeżeli jednak materyalna niemożność niepozwala nam zamieszczać sprawozdań o wszystkich, to wyjątek od ogólnej reguły stanowić powinny te z nich, które po raz pierwszy pojawiają się na półkach księgarskich, stanowiąc że się tak wyrażę zaranie rozbudzającego się życia na prowincyi.

Kalisz dotąd nader słabo pod tym względem był uposażonym. Wychodzący przed laty w wspomnionym mieście Kalendarz nie posiadał żadnych cech literackich. Sekreta gospodarskie, kilka przestarzałych anegdotek, lub jaka tłomaczona z niemieckiego języka powiastka, stanowiły całą jego treść. Po za temi zakreślonemi odwieczną rubryką szczegółami nie było już nic; o dziale zaś statystycznym i informacyjnym nie uznano za stosowne wspomnieć nawet.

Obecnie p. Alfons Hurtig księgarz, wspólnie z p. Zygmuntem Zanożyńskim znanym już pochlebnie z tego rodzaju prac redaktorem, przedsięwzięli wypełnić ów brak puszczając w obieg „Noworocznik Kaliski."

Zadanie wydawcy i redaktora jak na początek pomyślnym uwieńczone zostało skutkiem. W dziale statystycznym zasługuje na uwagę „Kronika Kaliska" przez samego redaktora skreślona w której po krót-

kiej przemowie do czytelnika przebiega wszystkie wyjątki publicznego życia Kalisza streszczając w jedną całość szereg pojedynczych faktów wewnętrznego ruchu miasta. Artykuł: „Park Kaliski i ulica Józefiny“ p. Adama Chodyńskiego, przedstawia nam przeszłość z której w konsenkwentnym rozwoju dochodzi do obecnych czasów. Pan. Ch. obznajmiwszy czytelnika czem była ta część miasta w końcu zeszłego stulecia, rozwija następnie wszystkie fazy, przejścia, dokonane roboty, zwalczone trudności, jakie następując po sobie stały się podstawą wytworzenia najpiękniejszej ozdoby Kalisza.

Niepodobna mi pominąć milczeniem artykułu „O uczuciu miłości jako sile“ w którym pan. S. Czyński, przykładem wybranym z miejscowej kroniki sądowej dowodzi, że wszelkie objawy czysto duchowe tamowane, wyszydzane lub oziębiane wpływami oschłego pozytywizmu, mogą wyrodzić szczególniej u młodych mniej doświadczonych zwątpienie, rozpacz i aberacyą umysłową. Wprawdzie p. Czyński w psychologicznem studium swojem nieużywa wyrazu pozytywizm, ale jakiemże mianem określić można postępowanie tych, którzy mając pod swoją opieką młodą dziewicę, starają się rozlicznemi sposobami wyplenić z jej duszy wszelkie popędy uczucia, ośmieszyć miłość, napoić serce żółcią niewiary? W zupełności podzielamy pogląd szanownego autora. Tamowanie rozwoju sił duchownych, czerpanie wszystkich zasobów istnienia w grubym materyalizmie może doprowadzić do zbrodni samobójstwa; gdy zaś do tego dodamy jeszcze podkopywanie zasad religijnych, walkę zmysłową o byt, poniewieranie najświętszemi pomnikami pamiątkowemi, cofniemy się do owych czasów, w których zaspokojenie zwierzęcych potrzeb życia stanowiło jedyny cel człowieka, w których obrzucona kałem materyi dusza zatraciła wszelkie poczucie miłości bratniej, wszelkie zarody dobrego. Jeżeli zechcemy wyszukać źródła wielu popełnionych zbrodni, to znajdziemy takowe w kierunku na jaki od niejakiego czasu oszołomiona sofizmatamy mentorów ludzkość wstępuje

Równie szlachetną dążnością odznacza się powiastka p. t. „Potwory“ p. Zanożyńskiego. W szkicu tym autor maluje nam kobietę, która wstąpiwszy na ponętną drogę bezwarunkowego wyzwolenia się z obowiązków jakie natura sama dla płci pięknej naznaczyła, dopuszcza się w imię walki o byt, ohydnej zbrodni. Charakter pani Leokadyi nie jest bynajmniej przesadzony: ja sam znam podobne „potwory.“

Część belletrystyczna Noworocznika ozdobioną jest wierszem p. A. Chodyńskiego, nacechowanym smętną rzewnością i pewnym odcieniem umiarkowanej subtelnej ironii, z jaką tylko niesłusznie prześladowani od losu, a niepozbawieni chrześcijańskiej miłości ludzie wyrażać się mogą.

Natomiast w dwóch króciutkich utworach p. Ludmiły niepodobna przy najlepszej woli, dopatrzeć jakiejkolwiek bądź dodatniej strony. W „Gwiazdach“ poetka (?) dąży w stronę dróg mlecznych, słoniąc skrajem swej szaty na wiatr puszczonej wzrok ducha „(pozycya co najmniej ryzykowna), dalej „odłamy *szmatne* chmury pryskają błotem (proszę uważać: tylko błoto wsród chmury), a nakoniec celem tej górnolotnej podróży jest by czoło jej *orne* myślą i troską, *weszło* podobne gwiaździe i stanęło *nad* (sic!!!) potęgą Boską. „Kartka wycięta“ tegoż pióra, nie ma ani początku, ani końca, ani ładu, ani treści; autorka wezwana pilnym listem w drogę przybywa pożegnać się ze znakomitą i cenioną powszechnie osobistością, chce jej podać kawę której *pomnikowy człowiek* nie przyjmuje, nakoniec opuszcza progi *rozjaśnione niespożytym blaskiem ducha*, i odjeżdża... szczęśliwej podróży do jak najpóźniejszego zobaczenia się. Wprawdzie sam tytuł mógłby wytłomaczyć brak loicznej konsekwentności w tym obrazku, ale dla czegoż miasto zaokrąglenia podawanych do druku artykułów, wycinać kartki z rękopismów? Wszakże za podobną swawolę karano nas jeszcze w szkołach.

Szczera i prawdziwa sympatya jaką czujemy dla pojawiającego się na półkach księgarskich Noworocznika Kaliskiego sprawia, iż kładąc nacisk na te dwie małe, zaledwie dojrzane plamki, pragnęlibyśmy widzić nadal wydawnictwo p. Alfonsa Hutiga oczyszczone od podobnie niefortunnych prób pióra. Radzimy również w następnych latach ażeby dział informacyjny i statystyczny został rozszerzonym, lecz nie z uszczerbkiem belletrystyki jak chce mieć jeden ze sprawozdawców; belletrystyka bowiem w podobnego rodzaju wydaniach powinna zawsze jeżeli nie pierwsze to przynajmniej główne zajmować miejsce. Każdy początek jest trudnym, a to co nam dał nowonarodzony Noworocznik, powinno zachęcić publiczność do popierania wszelkiemi siłami wydawnictwa redagowanego sumiennie, starannie, i łączącego pożytek z przyjemnością.

Dziwi nas mocno iż „Kaliszanin do tego czasu przynajmniej, nie zamieścił w swych szpaltach, żadnego sprawozdania o wspomnionem wydaniu.

L. Niemojowski

Oprócz wymienionych powyżej artykułów Noworocznik zawiera jeszcze trzy prace pióra samego sprawozdawcy p. L. Niemojowskiego, o których naturalnie nie robi autor najmniejszej wzmianki. Czujemy się zatem w obowiązku brak ten zapełnić, tak ze względu na samego Sprawozdawcę jak i na wydawnictwo zasługujące na poparcie.

Pierwszym z tych artykułów p. L. Niemojowskiego jest wiersz p. t. *Kalisz*, poświęcony z obrazowaniu samego miasta i okolicy jego, dopełnionemu z wielkiem uczuciem i miłością bo jak powiada autor:

Włoskiego nam nieba, zazdrość nie trzeba,
Gdy ujrzysz Kaliski nasz kraj!

Mówiąc o przybyszach znad Szprei zwykle biednych i niezasobnych, wędrujących do Kalisza drogą od Szczypiorna, a później przy pracy i oszczędności bogacących się, autor robi uwagę.

I my tak powinni, być rzutcy i czynni,
Z niemieckiej praktyki brać wzór.
A zamiast łzy ronić, w przemyśle ich gonić,
Przez pracę wstępować w ich tór.

Wreszcie przebiega Autor samo miasto Kalisz, przesuwa się po jego ulicach, nadsłuchuje gwaru życia, dźwięku dzwonów kościelnych, modlitwy płynącej z ust tysiąców, zagląda do parku miasta napełnionego tłumem szukającym wytchnienia po pracy, przywołuje wspomnienia do niego przyrosłe, i żal młodzieńca za stratą swej ukochanej. W wierszu tem wszędzie myśli trzeźwe, uczucie serdeczne i miłość rodzinna gorąca; kończy go też Autor słowami.

Niech wiary blask świeci na skroniach twych dzieci,
Niech chroni od złego cię Bóg.

W drugim artykule p. t. Teatra ludowe, szkoda że autor ograniczył się jedynie na przedstawieniu tej zabawy w Rzymie, a nie zrobił zwrotu do naszych szopek i jasełek po części za teatra ludowe mogących być uważanymi. Tak jak jest, stanowi szkic obyczajowy jak i nazwany został, który choć z zajęciem przeczytany będzie, ale zyskałby wiele na interesie gdyby żywioł swojski został do niego wprowadzony. Trzeci artykuł; *Kilka słów* o *buddaizmie*, obejmuje z wielką znajomością skreślone zasady tej religii liczącej bliżko cztetysta milijonów wyznawców w Chinach i Japonii: p. L. Niemojowski przez długi czas przemieszkiwał nad granicą Chin, miał więc sposobność zbadać na miejscu dokładnie wszystkie tajemnice tak upowszechnionego wyznania, i dla tego dał objaśnienia nowe stanowiące przyczynek naukowy mający nie małą wartość.

J. K. Gregorowicz.

Do dzisiejszego Nru Tygodnika Mód, dołącza się dodatek z drzeworytami i arkusz z krojami.

Druk E. Skiwskiego, w Warszawie, Elektoralna Nr 758 (28 nowy). Дозволено Цензурою. Redaktor i Wydawca **J. K. Gregorowicz.**

Dodatek.

Opis do N. 46.

(Dokończenie).

N. 25. Chusteczka kamizelkowa z czarnej koronki, wyszytej perełkami. Krój w dodatku N. V, Fig. 19.

Na formie wyciętej ze sztywnego tiulu i stanowiącej podstawę chusteczki, naszyta jest gładko koronka, 5 cent. szeroka, wyszyta perełkami. Kreza dana przy podłużnym wykroju, ułożona jest z podwójnie złożonej illuzyi, brzegiem naszytej perełkami, z tyłu fałduje się w wielkie kontrafałdy, na długości 18 cent. dalej zaś ku przodowi fałdy się zmniejszają i kreza składa się węzej. Naszycie krezy przykrywa pasmanterya z perełkami.

N. 26. Postument do wkładania gazet, papierów, listów i t. p. przyozdobiony mozajką leśną lub haftem.

Postument ten odrobiony jest z rzeźbionego drzewa, pięknie pozłoconego. W środku rozdzielony na kilka przegródek do wkładania papierów, gazet, listów i t. p. Ściany boczne tekturowe pokryte są brązowym aksamitem. Przednia ściana, opatrzona w środku kalendarzem, ozdobiona jest gustownie ułożoną leśną mozajką. W miejsce mozajki można na tle aksamitnem wyhaftować narożniki z kwiatów, kolorowemi jedwabiami.

N. 27—29. Kołnierzyk i rękawek.

Ozdobiony kratką wyciąganą w płótnie.

Wzory ażurowych kratek znajdą czytelniczki w dawniejszych numerach Tygodnika, dziś na ryc. 29 załączamy nowy wzór ładnej kratki naśladującej gipiurę. Rożki kołnierzyka ozdobione są ostębnowaną pliską i ząbkami szydełkowemi. W mankiet przy rękawie wszyty jest kwadrat, mający 6 cent., jednym rogiem wystający z mankieta i podpięty kokardą z wstążki.

Kołnierzyk i mankiet są od środka podgarnirowane muślinowem plisowaniem.

N. 30. Szlak haftowany. Robota krzyżowa.

Szlak ten może stanowić piękne zakończenie portjer, serwet, pasy do pokrycia na meble i t. p. Jakkolwiek deseń bardzo jest gustowny i cienie harmonijnie odznaczone, to jednak cały efekt roboty zależy na wyborze kolorów i cieni, które powinny być odpowiednie do tła portjer czy mebli. Pod ryciną 30 wytłomaczone są kolory, odróżnione znakami.

N. 31. Haft do przyozdobienia vêtement i t. p.

Haft ten odnosi się do ryc. 6 w N. 45, gdzie użyty był na zakończenie okrycia. Tło stanowi materyja jedwabna.

Opis do N. 47.

N. 1. Ubranie z paletotem szalowym i chusteczka z kapturkiem. Krój i opis paltota na arkuszu dodatkowym N. XII, Fig. 57—61 krój chusteczki Fig. 62.

N. 2. Ubranie z paletotem szalowym i tuniką.

Rozłożoną tiunikę podamy w N. 48. Krój i opis na dodatku N. XII Fig. 57—61.

N. 3—4. Dwa narożniki do kołnierzyka.

Haft gipiurowy odrabia się na cieniutkiem płótnie ściegiem dzierganym, sznureczkowym i muszkami, a do kratek używa się nici koronkowych. Brzegi narożników oszywa się pikotami, lub wąziutką koroneczką, a następnie przyszywa takowe do paska i dodaje stojącą plisowaną falbankę, jak na ryc. 27 w N. 46 Tygodnika.

N. 5—6. Dyjadem z liści robionych i wyszywanych dżetem na tiulu, do podpięcia zimowego kapelusza.

Dotąd jeszcze najmodniejsze podpięcia do zimowych kapeluszy, stanowią kwiaty i liście jesienne odrobione z atłasu lub aksamitu, z dodaniem liści wyszywanych dżetem na czarnym tiulu, lub gałązek z dżetu nawlekanego na drucik. N. 5 przedstawia dyjadem z liści jesiennych przewijanych liśćmi dżetowemi, te ostatnie mogą być na wpół przezroczyste jak na ryc. 6, lub całe zaszyte jak na ryc. 9. Brzegi liści i żyłki odznaczają się perełkami nawleczonemi na drucik trochę grubszy, a środki zaszywają rzędami perełek nawleczonych na cieniutki drucik, lub pojedynczemi perełkami przyczepianemi jedwabiem.

N. 7—9. Podpięcie do zimowego kapelusza, złożone z kwiatów oraz gałązek i liści dżetowych.

Kwiat odrobiony jest z czarnego aksamitu i atłasu lila, a liście z rypsu czarnego. Gałązki dżetowe odrabia się podług wzoru N. 8. Liść dżetowy podany w naturalnej wielkości na ryc. 9, obwodzi się z brzegów i wyszywa przez środek drobniejszemi rzniętemi perełkami, a w środku zapełnia dżetem.

N. 10. Kosz do papierów z medaljonami z kwiatów skórzanych albo z mozajki leśnej.

Wzór liścia winnego na dodatku Fig. 75. Koszyki takiego kształtu zarówno mogące służyć do papierów albo do robót kobiecych są dziś najmodniejsze. Kształt odrobiony być powinien z trzciny lakierowanej na czarno, żółto, albo ze złoconej. Pod przezroczyste ściany, dodaje się podszewkę z kolorowej materyi, w środkowej ramce owalnie albo w kanty ściętej, umieścić można robotę krzyżową, haft lub aplikacyją kolorową, mozajkę z nasion i szyszek, albo kwiaty ze skóry. Na modelu, kosz z czarnej trzciny miał 30 cent., a postument 20 cent. wysokości. W miejscach przeznaczonych na medaljony do ramki od spodu, przybija się drobniutkiemi sztyfcikami tekturę, od wierzchu oklejoną ciemno brązowym aksamitem lub atlasem a na tem umieszcza się bukiet z mozajki leśnej, lub (jak na modelu) z kwiatów i liści skórzanych. W środek dodana była podszewka z brązowego fularu, oszyta w górze riuszą ze wstążki. Przy uszach dodane sznury i kwasty jedwabne. Sposób robienia kwiatów skórzanych, opisywaliśmy w Tygodniku Mód w numerach końcowych z roku 1873.

N. 11—12. Kaftaniki włóczkowe, robota szydełkowa, ścieg tunetański. Krój N. XIV Fig. 66—67.

Materyjał: włóczka angielska, szydełko cienkie drewniane, guziczki stalowe, z perłowej konchy lub szmuklerkie.

Lepiej i dokładniej dopasować można obcisły kaftanik podług formy, aniżeli podług obliczonej ilości oczek, trzeba tylko robotę często i dokładnie do wyciętej formy przymierzać. Na przodku Fig. 66 oznaczone jest liniją zapięcie proste oraz odrysowana zakładka na którą gubi się stopniowo w robocie. Plecy i przody robią się oddzielnie, zaczynając od góry, to jest od miejsca literą *y* oznaczonego. Przód pod spód zachodzący zaczyna się 38 o. łań., z tych końcowe się opuszcza, a w 2 następne robi 2 o. tunetańskie, w drugiem obrobieniu dobiera się 3 o. łańcuszka, w 8 dalszych rzędach po 4 o., a dalej dopiero robi się przez całą szerokość, przybierając i gubiąc podług formy. Na zaszewkę na piersiach gubi się co drugie obrobienie po jednem oku, w miejscu na formie wskazanem. Drugi przodek musi być robiony w odwrotnym kierunku, zaczyna się więc tylko 3 o. łań., w które daje się dwa o. tunetańskie a za niemi 3 o. łań., w następnym zaś 8 obrobieniach dodaje się zawsze na końcu 4. o. łańcuszka.



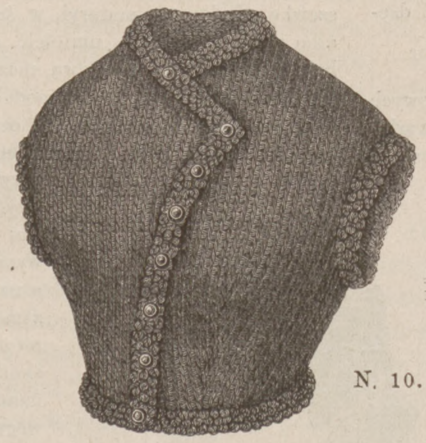
N. 1. Ubranie z paltotem szalowym i chusteczka z kapturkiem. Plecy chusteczki ryc. 50 w N. 48 Tygodnika Krój na arkuszu dodatkowym N. XII Fig. 57—62.

N. 2. Suknia z tiuniką i paltotem szalowym. Krój jak do N. 1. Rozłożona tunika ryc. 3 w N. 48. Tygodnika.



N. 3. Kołnierzyk. Haft dziergany, muszki i kratka koronkowa.

Jeżeli kaftanik ma być zapinany skośnie, to w następujących przybiera się, a następnie gubi podług formy na klapę. Plecy zaczyna się od góry na o. 76, z których jak zwykle końcowe się opuszcza, a w dwa dalsze robi 2 o. tunetańskie, przy obrabianiu których dodaje się z brzegu o. pow. w które w następnym rzędzie przybiera się 2 o. tunetańskie; od strony łańcuszka przybiera się nowych o. 5, ażeby w tem drugiem obrobieniu było wszystkiego o. 9, potrzebnych na zaokrąglenie wykroju szyi. Następnie opuszcza się 16 o. łań., a w dalsze 9 robi się nitką oddzielną dwa rzędy tun., złożone jeden z 9 drugi z 2 oczek. Pozostałe o. łań. służą do przedłużania następnych rzędów od lewego brzega zawsze o 2 oczka; od prawej zaś strony dobiera się zawsze na końcu 2 nowe oczka aż do wykończenia ramion. Dalej podług formy odrabia się wykrój pachy i brzegi boczne, następnie plecy z przodami zeszywa z lewej strony, a brzegi w koło obrabia o. śc. i oszywa barankiem, robionym na drutach, lub szlaczkiem szydełkowym 3 cent. szerokim, ozdobionym dodawanemi pęczkami.

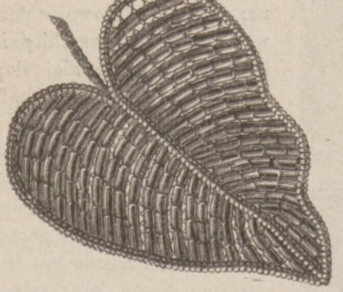


N. 11. Kaftanik szydełkowy skośnie zapięty. Ścieg tunetański i szydełkowy. Krój N. XIV Fig. 66—67.

N. 13. Szlak kolorowo wyszywany, do wałka pod głowę.

Materyjał: sukno, ryps wełniany albo kaszmir, kordonek i plecionka jedwabna.

Deseń taki odrobiony żywemi, tureckiemi kolorami kordonków, na tle ciemnym, wygląda bardzo ładnie. Na modelu tło było z czarnego kaszmiru, większe figury środkowego pasa obwiedzione dwa razy, podwójnym ściegiem sznureczkowym, kolorem pąsowym i złotym, palemki zaś kordonkiem białym i zielonym. Tło między figurami za-

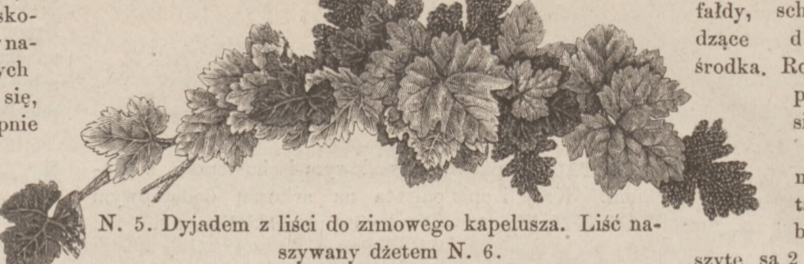


N. 9. Liść zaszyty dżetem do N. 7.

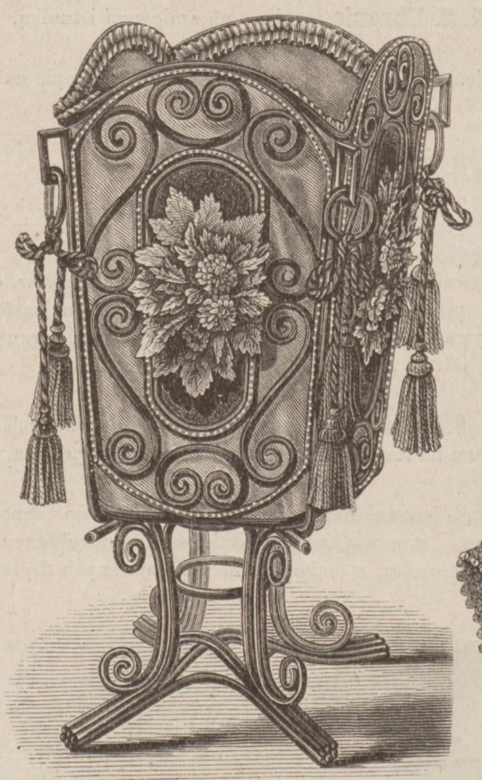
szyte było w sposób na ryc. 13 wskazany, skośnemi paskami, kordonkiem białym i pąsowym. Z brzegów haftu naszyte są pasy z plecionki pąsowej, białej, czarnej i żółtej; na plecionce pąsowej gwiazdki wyszyte kolorem żółtym i czarnym, na białej krzyżowane ściegi są pąsowe, a na żółtej czarne. Ścieg cierniowy na plecionce czarnej, wyszyty jest kordonkiem żółtym.

N. 14—15. Sukienka z fałdowaną spódniczką. Krój na arkuszu z formami, N. VI Fig. 31—36.

Popielata kaszmirowa sukienka, ma z przodu 31, z tyłu 33 cent. długości, a 230 cent. dolnego obwodu. Kliniasto ścięty bryt przedni, kraje się podług Fig. 36, w tył zaś daje się 3 proste bryty ułożone w płaskie $3^1/_2$ cent.



N. 5. Dyjadem z liści do zimowego kapelusza. Liść naszywany dżetem N. 6.



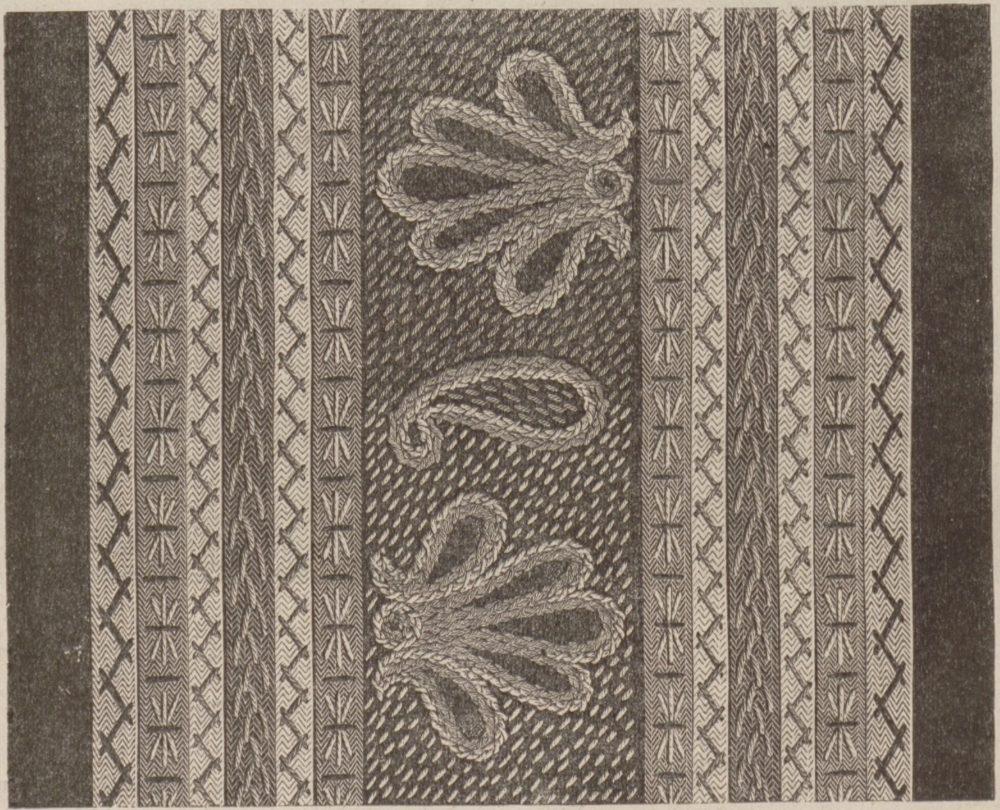
N. 10. Kosz do papierów z medaljonami z kwiatów ze skóry, albo z mozajką leśną.



N. 7. Podpięcie do zimowego kapelusza, ułożone z kwiatów oraz z gałązek i liści dżetowych.

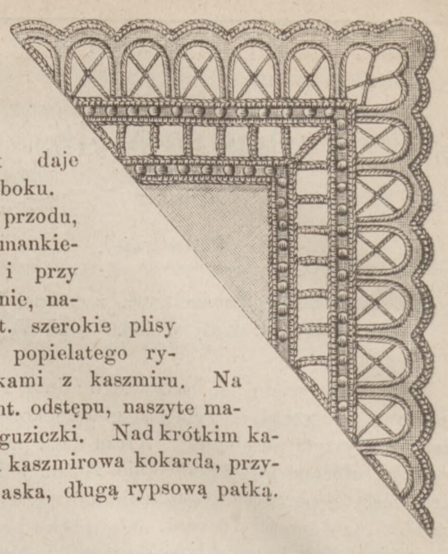


N. 8. Gałązka dżetowa do N. 7.



N. 13. Szlak wyszywany różno-kolorowym kordonkiem, do wałków pod głowę, mebli i portyjer.

głębokie zaprasowane fałdy, schodzące do środka. Rozporek daje się z boku. Z przodu, na mankietach i przy baskinie, naszyte są 2 cent. szerokie plisy z jedwabnego, popielatego rypsu, z wypustkami z kaszmiru. Na plecach w 2 cent. odstępu, naszyte małe kaszmirowe guziczki. Nad krótkim karoczkiem z tyłu kaszmirowa kokarda, przypięta jest do paska, długą rypsową patką.



N. 4. Kołnierzyk. Dzierganie: muszki i ścieg sznureczkowy.

N. 16. Worek do nóg. Haft z aplikacyją. Deseń na dodatku Fig. 38.

Materyjał: ciemno brązowe sukno na tło, brązowawo-popielate na aplikacyją, brązowy kręcony sutasz, trzy cienie brązowego kordonku.

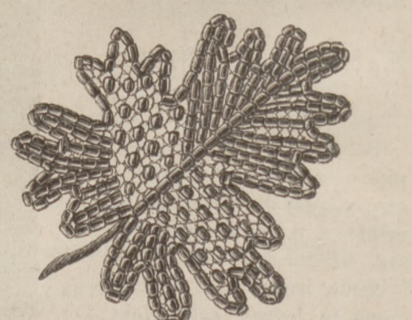
Fig. 38 podaje 8 część deseniu, podług której łatwo można całość dopełnić. Aplikacyja z popielatego sukna przyszywa się z brzegów sutaszem perełkowym; długie poprzeczne ściegi na aplikacyi, wyszywa się cieniem środkowym. Wyszycie za aplikacyją, robi się ściegiem łańcuszkowym albo dzierganym, dwoma ciemniejszemi cieniami; do gałązek wyszytych ściegiem cierniowym, użyte są wszystkie cienie. Do monogramu wyhaftowanego na środku dodać można nitkę złotą. Uszy są z grubego, jedwabnego ciemno brązowego sznura. W środek daje się ciepłe, tańsze futro, a wierzchnie brzegi obłożone są pięknem futrem z długim włosem.



N. 12. Kaftanik szydełkowy. Ścieg i krój jak do ryc. 11.

N. 17. Deseń na pudełko do rękawiczek. Aplikacyja z kretonu i haft. Deseń arabeskowy Fig. 73.

Na niebieskim jedwabnym rypsie, przyszyta jest ściegiem sznureczkowym, kordonkiem popielatym, gałązka popielatych róż i liści cieniowanych, wyciętych z kretonu. Arabeska otaczająca aplikacyją, odznaczona jest cienkim złotym sznureczkiem, i ozdobiona supełkami i ściegiem cierniowym, jedwabiem blado niebieskim.



N. 6. Liść naszywany dżetem do N. 5.

N. 18—19. Paletocik wcięty do figury, z szalowym kołnierzem. Krój i opis na arkuszu dodatkowym N. XI Fig, 51—57.

N. 20. Pół wcinany kaftanik, naszyty w pasy. Krój jak do ryc. 39—40 w N. 48 Tygodnika.

Na kaftanikach z wełnianych tkanin naszycia mogą być z pięknej wełnianej taśmy, ozdobionej perełkami; do aksa-

mitu użyte bywają torsady szmuklerskie przerabiane dżetem, które pokrywają zarówno przody jak i plecy. Na rękawach naszyte są tylko szerokie mankiety. Każdy pas u dołu zakończa się szmuklerskim guzikiem, albo (jak na modelu) puklem i spiczastym końcem do którego przyszywa się kwast suty. Frendzla z bogatą torsadą przyszyta jest u dołu.



N. 14. Sukienka z fałdowaną spódnicą, przód do ryc. 15. Krój na arkuszu dodatkowym N. VI Fig. 11—13.



N. 16. Worek do nóg; haft i aplikacyja. Część desenia Fig. 38.



N. 15. Sukienka z fałdowaną spódnicą, przedstawiona z tyłu. Patrz przód N. 14.



N. 17. Deseń na pudełko do rękawiczek. Aplikacyja z kretonu i haft. Deseń arabeski Fig. 74.

N. 21. Wzór na kołdrę w pasy. Robota szydełkowa i wyszycie.

Materyjał: włóczka kastorowa w dwóch cieniach kamiennopopielatych, ciemno karmazynowych (prawie brązowych) i jasno pąsowych; czarna i maisowa.

Rycina 21 podaje wzór pasów w połowie naturalnej wielkości, których środek robi się zwykłym ściegiem tunetańskim, a brzegi obrabiają następnie o. ścisłemi. Na modelu pasy tunetańskie, mające 21 oczek szerokości, były naprzemian kamienne i ciemno karmazynowe. Na kamiennych w odstępach 9 rzędów, wyszyte były następnie, kwiaty i gałązki kolorem jaśniejszym brązowym; środek kwiatków stanowią supełki maisowego koloru. Na ciemno brązowych pasach, przy przerabianiu oczek wstecz, dodaje

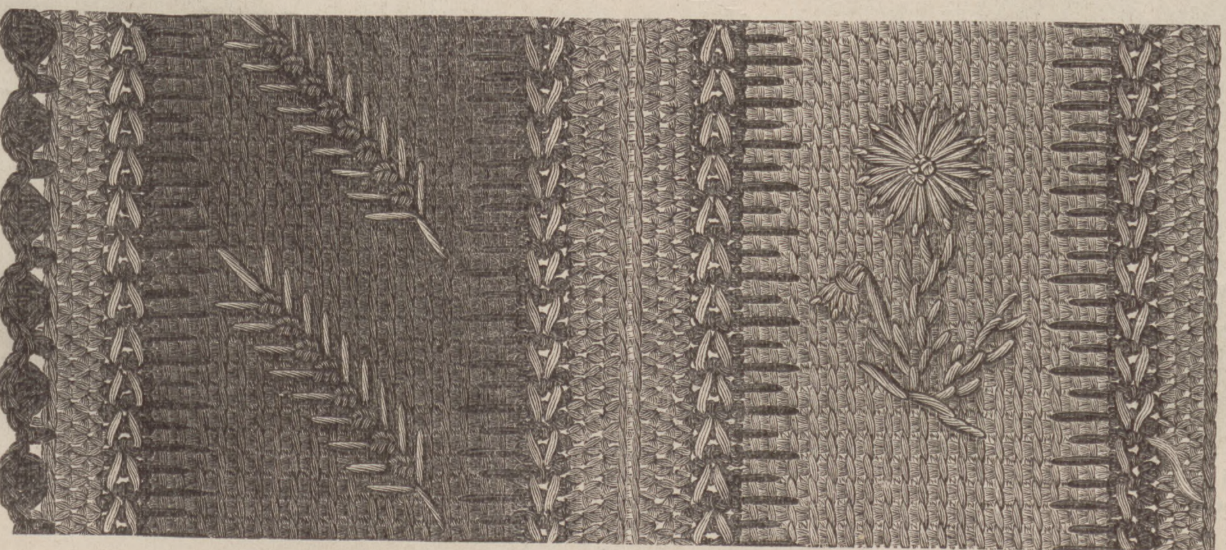


N. 18. Paltocik wcinany z kołnierzem szalowym, przód do ryc. 19. Krój N. XI Fig. 51—57.

się skośno idące supełki złożone z 4 o. powietrznych. Pierwszy supełek wypada po przerobieniu o. 16 a następne 7, posuwają się zawsze o 1 o. ku lewemu brzegowi. Następnie przy supełkach dodane są długie pąsowe ściegi, stanowiące wyszycie w formie kłosa. Później pasy obrabiają się wzdłuż o. śc. 3 razy kolorem czarnym i 3 razy jasno pąsowym, po czem spajają się od lewej strony, jednym obrobieniem maisowym. Z brzegów na robotę tunetańską zachodzą długie ściegi czarne. Podłużne brzegi kołdry obrabia się ząbkami czarnemi, a poprzeczne zakończa frendzlą z włóczki czarnej i maisowej. Na czarnym obrobieniu pasów dodane także maisowe wyszycie.



N. 19. Paltocik wcinany z kołnierzem szalowym. Plecy do ryc 18.



N. 21. Wzór na kołdrę szydełkową ozdobioną wyszyciem.

N. 22—23. Wiązany kapelusz z rondkiem dyjademowym.

Fijołkowy aksamitny kapelusz ubrany jest rypsem i piórami lila; z tyłu przypięty ptaszek różno piory. Długi welonik z czarnego jedwabnego tiulu, wiąże się pod brodą albo okręca koło szyi.

N. 24. Kapelusz czarny aksamitny z główką bufowaną czarną tiulową, ubrany piórami, wstążką i kwiatami.

N. 25. Kapelusz czarny, okrągły filcowy z miękką główką, ubrany rypsem niebiesko stalowym, z podszyciem jasno niebieskim, różami chińskiemi i kolorowem skrzydełkiem.

N. 26. Suknia z vêtement. Krój vêtement jak do ryciny 41—43 w N. 48 Tygodnika.

Ubranie to odrobione jest z materyjału w dwóch cieniach albo dwóch stosownie dobranych kolorach, odznacza się tylko rodzajem garnirunku, którego układ i przybranie dokładnie wskazuje rycina.

N. 27. Suknia ze stanikiem szalowym i powłóczystą spódnicą w suty puf podpiętą.



N. 20. Pół wcinany paltot naszyty pasami. Krój jak do ryc. 39—40 w N. 48 Tygodnika.

Wzór kroju i opis na arkuszu dodatkowym N. VII Fig. 37.

Opis do N. 48.

N. 1. Serweta na stoliczek do szycia; haft z aplikacyją. Deseń na arkuszu z krojami Fig. 73.

Materyjał: sukna ciemno brązowego na tło kawałek, mający 48 cent. szerokości a 110 długości, kawałek białego atłasu i kawałek sukna piaskowego, nie zbyt jasnego, na aplikacyją; sznureczek perełkowy jedwabny, ciemniejszego piaskowego

koloru, kordonek orzechowy w trzech cieniach.

Polowa deseniu, który także zdać się może na lambrekinę do pułeczek lub t. p., podana jest na Fig. 73. Cztero-listna gwiazdka arabeski podłożona jest białym atłasem, pod resztę deseniu daje się aplikacyją z sukna piaskowego przydzierganą najciemniejszym cieniem kordonku, a następnie oszytą jeszcze z brzegu ściegiem sznureczkowym, kolorem najjaśniejszym. Wyszycie cierniowe na liściach daje się także najjaśniejszym kolorem, a na gałązki służą dwa cienie ciemniejsze; do wyszycia na tle atłasowym i do półkuli nad bocznemi figurami, użyte są wszystkie 3 cienie. Arabeska w koło brzegów oznaczona jest 3 razy sznureczkiem perełkowym, tło w węższym odstępie wyszyte jest ściegiem krzyżowanym, kolorem średnim, szerszy szlaczek wyszywa się ściegiem łańcuszkowym ciemnym kolorem; ściegi długie, środkowe średnim, a supełki najjaśniejszym. Brzegi przykrycia oszyte są w koło grubym sznurem, oprócz którego wązkie strony ozdobione są frendzlą, którą odrobić można podług próbki N. 8—9.



N. 23. Kapelusz do wiązania z rondem dyjademowem tył do ryc. 22.



N. 22. Kapelusz do wiązania z dyjademem. Przód do ryc. 23.



N. 24. Kapelusz z główką tiulową bufowaną a rondkiem aksamitnem, ubrany wstążką, kwiatami i piórami.

N. 2. Kokarda do krawatki. Deseń na koronkę irlandzką Figura 76.

Kokarda z krepy różowej jedwabnej i muślinu, ma 3 pukle skośne, krepowe, 7 cent. szerokie, obrąbione ściegiem krytym i przewiązane podwójnym węzłem; 10 cent. szeroki pukiel muślinowy, oszyty pikotami koronkowemi. Z dwóch końców mniejszy krepowy, jest z trójkąta złożonego przez środek we dwoje, którego proste 20 cent. długie brzegi, zdobi frendzla siepana $2^1/_2$ cent. szeroka. Trójkątny koniec muślinowy mający w prostych brzegach 18 cent. długości, ozdobiony jest aplikacyją haftu i koronką irlandzką z tasiemeczki medalijonowej, której przyszycie pokrywa plisa z różowej krepy 1 cent. szeroka.

(d. c. n).



N. 25. Kapelusz miękki, okrągły filcowy, ubrany rypsem stalowym, podszyty rypsem blado niebieskim i różami chinskiemi.



N. 26. Suknia z vêtement. Krój jak do ryc. 41—43 w N. 48 Tygodnika.



N. 27. Suknia z sutym pufem i ze stanikiem z szalowemi przodami. Krój i opis na arkuszu dodat. N. VII Fig. 37.